NR 38 (1911) 23 WRZEŚNIA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

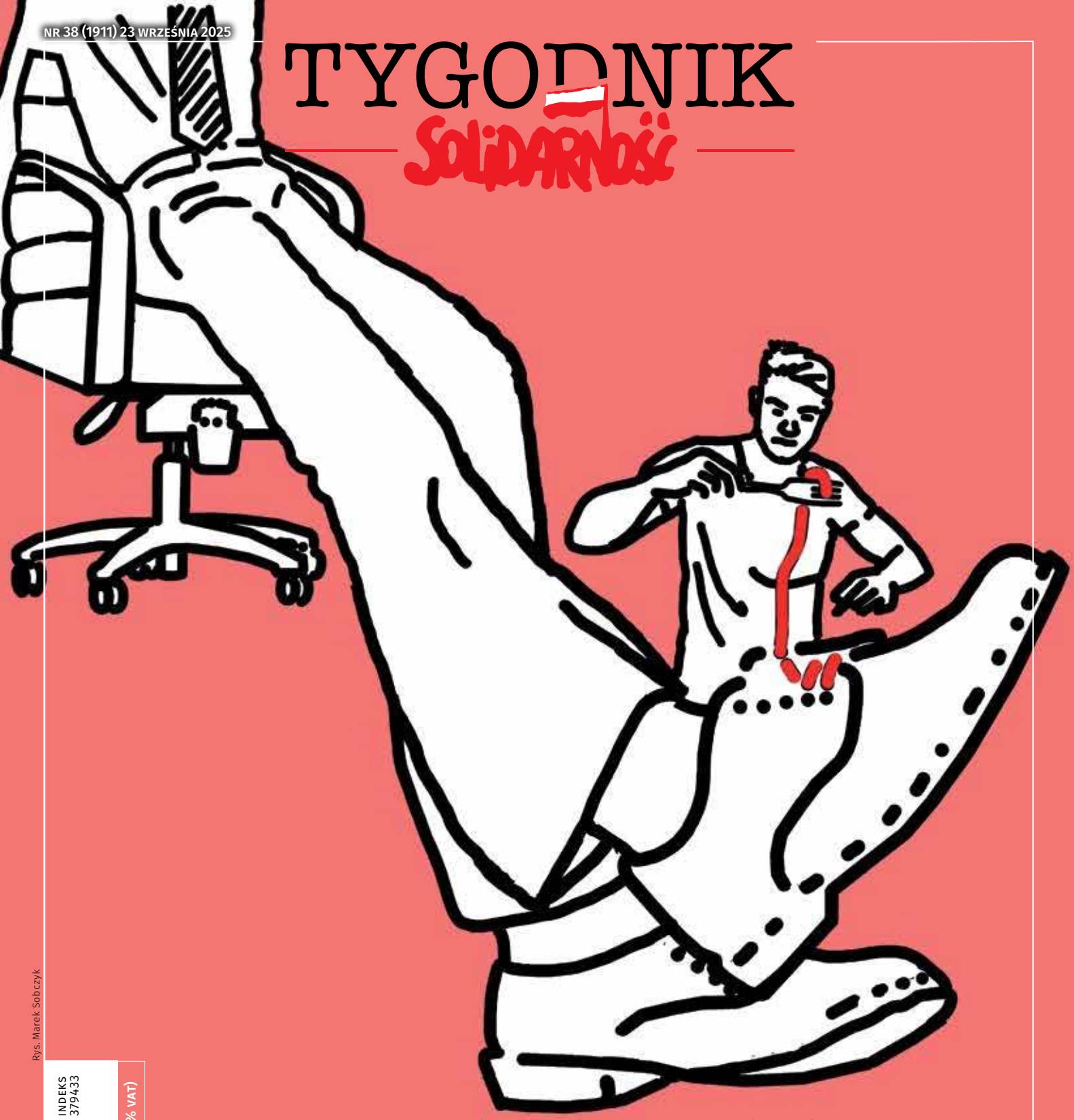

Rys. Marek Sobczyk

NIERÓWNOŚĆ
NIE JEST DOBRA

- PODWYŻKA – INFLACJA = ZERO
- KIRK, ZARUCKA I CO DALEJ?

ISSN 0208-8045
38 INDEKS 379433
9 770208 040450
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

eprasa.pl 54376c0a4f

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 54376c0a4f

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Wystarczy spojrzeć na polską historię ostatnich kilkudziesięciu lat, by zrozumieć, że wciąż chodzi o to samo: czy żyjemy w świecie wspólnoty, czy w świecie przywilejów. I to jest klucz do zrozumienia pojęcia równości.

W PRL-u, choć popularna w sferze propagandy, w rzeczywistości nie istniała. O prawdziwą równość, podobnie jak o wolność, Polacy musieli walczyć oddolnie. I zrobili to. Solidarność od początku była wspólnotą ludzi równych. To była równość rozumiana jako prawo do decydowania, do podmiotowości, do bycia traktowanym poważnie – bez względu na to, jaki zawód się wykonuje i ile pieniędzy ma się w kieszeni.

Od tamtej pory minęły dekady. Zmieniliśmy system, gospodarkę, układ sojuszy. Ale pytanie o równość wcale się nie zestarzało. Przeciwnie – wraca dziś ze zdwojoną siłą, tyle że w nowym kostiumie. Z jednej strony słyszymy hasła solidarności społecznej, z drugiej – hymny na cześć nieograniczonej wolności jednostki.

Nie chodzi o to, by każdy miał tyle samo. Chodzi o to, by każdy miał szansę.

Tymczasem spór o równość to nie tylko ekonomia. To wciąż pytanie o to, czym jest wspólnota. Czy jesteśmy społeczeństwem, które potrafi troszczyć się o słabszych, czy zbiorem samotnych wysp, gdzie liczy się tylko własny interes? Historia pokazuje jasno: bez równości wspólnota się rozpada. Bez równości wolność zamienia się w przywilej, a sprawiedliwość w pusty slogan.

Nie chodzi o to, by każdy miał tyle samo. Chodzi o to, by każdy miał szansę. Szansę na godne życie, uczciwą pracę, dostęp do edukacji i zdrowia. To właśnie te banalne, codzienne sprawy decydują o tym, czy równość istnieje naprawdę.

Dlatego słowa z plakatu Solidarności, który przypominamy w „TS" – „Prawda, Godność, Równość" – wcale się nie zestarzały. Może właśnie dziś, gdy tak łatwo ugrzęznąć w partyjnych wojnach i ekonomicznych formułkach, warto wrócić do tej prostej triady. Ona przypomina, że wspólnota nie zawsze zaczyna się od wielkich planów, lecz na pewno od przekonania, że każdy głos waży tyle samo.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl 54376c0a4f

23.09.2025
WYDANIE Nr
38

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Równość według Solidarności

6 Równość według Solidarności

10 Solidarna kontra liberalna. Stary spór w nowej odsłonie

14 Harmonia społeczna – zapomniana wartość

18 Do równości pracowniczej jeszcze daleko. Rozmowa z Waldemarem Bartoszem

22 Talent to nie wszystko

KRAJ

W imię interesów... niemieckich 26

Przyszłoroczne wynagrodzenie minimalne – policzek dla pracowników 30

Pomagać trzeba bez skrajności. Wywiad Adamem Zawadzkim 32

Uratowani spod gilotyny 36

Zrobieni w drona 40

ZAGRANICA

Ostatnie spojrzenie Iryny Zaruckiej 44

Charlie Kirk – „szczęśliwy wojownik” 48

Tożsamość i nadzieja. Europa Środkowa w epoce zmian 52

KULTURA

Żyjemy w czasach totalnej ściemy. Rozmowa z Gniewomirem Tomczykiem 54

Kobieta pod presją. Recenzja filmu „Zawsze przychodzi noc” 58

Różnorodność ostrzeżeń, różnorodność obrazów 60

ZWIĄZEK

Co w związku 66

FELIETONY:

WOŚ 5

OKRASKA 13

SKWIECIŃSKI 17

GAC 29

MAŁKOWSKA 51

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 25

KARUZELA Z BLOGERAMI 43

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 64

PRAWO 68

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 54376c0a4f

Rafał Woś

W obronie równości

Platon uważał, że maksymalna rozpiętość pomiędzy tym, co posiada najbiedniejszy i najbogatszy członek wspólnoty wynosi jeden do czterech. Maksymalna znaczy, że więcej być nie powinno. A jeżeli jest więcej nierówności w społeczeństwie, to trzeba się liczyć także z negatywnymi konsekwencjami takiego stanu rzeczy.

Upominającym się o więcej równości zarzuca się niekiedy naiwność i nadmierny idealizm. Ciekawe jednak, że zasadę „jeden do czterech i nie więcej!" zapisał Platon w „Prawach", czyli swoim ostatnim i najdłuższym dialogu. Był to więc ze strony filozofa rodzaj testamentu. Nie tyle marzycielstwo, co raczej przestroga wynikającego z lat przenikliwej obserwacji realnego życia społecznego. Zdaniem Platona nadmierna nierówność oznaczała kłopoty: obustronny resentyment, gniew, strach oraz przemoc społeczną. A w końcu zniszczenie od środka każdej – nawet najlepszej – wspólnoty.

Czy jesteśmy we współczesnym świecie blisko tamtej platońskiej zasady „jeden do czterech i nie więcej"? A gdzież tam! W realnym kapitalizmie odległość pomiędzy biednymi i bogatymi mamy wyższą o ładnych parę zer. Załóżmy, że jesteście dumnymi właścicielami (w pełni spłaconego) mieszkania o wartości 500 tysięcy złotych. Gratulacje, wielu nie ma nawet tego. Ale i tak macie ledwie… 0,002% tego, ile wart jest majątek najbogatszego Polaka (tego od sklepów Dino). I 0,1% majątku dziesiątego na liście najbogatszych.

Mówienie o nierównościach bywa bardzo często zbywane starą metodą erystyczną polegającą na odwróceniu w absurd. W pytania w stylu: „To co, wszyscy mamy być jednakowi?". Nie, nie chodzi o równość absolutną i dlatego niemożliwą przecież do realizacji. W praktyce stawianie problemu nierówności wynika przecież z troski o bardzo konkretne konsekwencje w życiu społecznym. Wśród nich na przykład jest wzrost przestępczości i konieczność odgradzania się przez tych, co mają, od reszty społeczeństwa. Nierówności to niewydolna gospodarka, w której nie ma ani konsumpcji, ani inwestycji, bo większość konsumentów jest zbyt biedna, by móc kupować sobie coś więcej niż tylko najpotrzebniejsze towary i usługi. Nierówności to wreszcie popękane społeczeństwo, które może nawet żyć w jednym państwie i mówić jednym językiem, ale w praktyce wcale się ze sobą nie stykać, nie tworząc w praktyce żadnej wspólnoty losu.

Krytycy haseł równościowych chętnie mówią o nieudanych historycznych eksperymentach z socjalizmem, które miast do równości poprowadziły do zniewolenia. Tylko że takiemu stawianiu sprawy przeczy nawet samo istnienie Solidarności. Ona urodziła się przecież z równościowej niezgody na Polskę oficjalnie ludową, a tak naprawdę pełną równych i równiejszych. Ta sama równościowa krytyka dotyczy też polskiej transformacji w kapitalizm. Tam też niby wszyscy mieli równie szanse. Ale w praktyce jakoś było tak, że stare elity PRL odbudowały się w biznesie, polityce i mediach III RP. A potem ich status został odziedziczony przez następne pokolenie.

Także nasze czasy pełne są realnych nierówności. Ich niszczący pazur nic a nic się zmienił. Tej prawdy nie da się jednak wytłumaczyć raz na zawsze. Co rusz wchodzą do gry nowe pokolenia, które instynktownie odrzucają równość. Czują się silni i gotowi do walki o pełną stawkę. Niektórzy trzeźwieją, gdy pojawia się w ich życiu odpowiedzialność za słabszych – partnerów, dzieci czy starszych rodziców. Jeszcze innym powinie się noga albo wyjdzie na jaw cena, jaką płaci się za życie bez wspólnoty i bez oglądania się na innych.

Ten spór o Polskę trwa. Solidaryzm i trzymanie wspólnoty w jednym kawałku kontra indywidualizm i uciekanie od wspólnoty. Opowiedzenie się w tym sporze po stronie tego pierwszego modelu oznacza nieuchronne zmierzenie się z problemem nierówności. One były i będą wrogiem wspólnoty. Tego się nie obejdzie. Przed tym się nie ucieknie ani się tego nie zagada. Im mniej równe społeczeństwo, tym mniej społeczeństwa. Im mniej równa wspólnota, tym tej wspólnoty mniej. Im mniej równa Polska, tym Polska mniejsza i słabsza.

Pamiętacie? Już Platon o tym pisał…

eprasa.pl 54376c0a4f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

RÓWNOŚĆ według Solidarności

Kiedy 5 września 1981 roku niemal 900 delegatów na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” spotkało się w gdańskiej Hali Olivia, mieli przede wszystkim poczucie zwycięstwa i tego, że są **wspólnotą**. Była to wspólnota ludzi równych sobie.

Barbara Michałowska

Utopijna idea równości, choć przez władze komunistyczne w Polsce odmieniana przez wszystkie przypadki, nie tylko nie miała szansy nigdy się ziścić, ale też nikomu tak naprawdę na tym nie zależało.

Na serio potraktowała ją za to opozycja antykomunistyczna już w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Tyle że była to równość rozumiana w zupełnie inny sposób.

Godna praca, dostęp do podstawowych dóbr, ochrona praw człowieka

Komitet Obrony Robotników (KOR), powstały w 1976 roku, jako pierwszy jasno deklarował, że w Polsce społeczna równość nie może być pozostawiona jedynie na papierze, że praktyka życia codziennego – godna praca, dostęp do podstawowych dóbr, ochrona praw człowieka – musi być czymś dostępnym dla wszystkich.

Równość obok wolności pojawiła się więc w myśli środowisk opozycyjnych jako jedna z nadrzędnych wartości. Dążenie do rzeczywistej równości wbrew socjalistycznej praktyce „równych i równiejszych” często nie było wyrażane wprost, ale zdecydowanie wyczuwalne w myśli i działaniach opozycjonistów lat siedemdziesiątych.

„Wydaje się, że w myśli środowisk opozycyjnych w PRL – a ograniczam się tu do zaledwie kilku z tych, które powstały jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i miały istotny

SOLIDARNOŚĆ STARA SIĘ RÓWNOWAŻYĆ INTERESY PRACOWNIKÓW WOBEC WYZWAŃ WOLNEGO RYNKU, AKCENTUJĄC PRAWA PRACOWNICZE, DOSTĘP DO ŚWIADCZEŃ I SPRAWIEDLIWY PODZIAŁ KOSZTÓW.

eprasa.pl 54376c0a4f

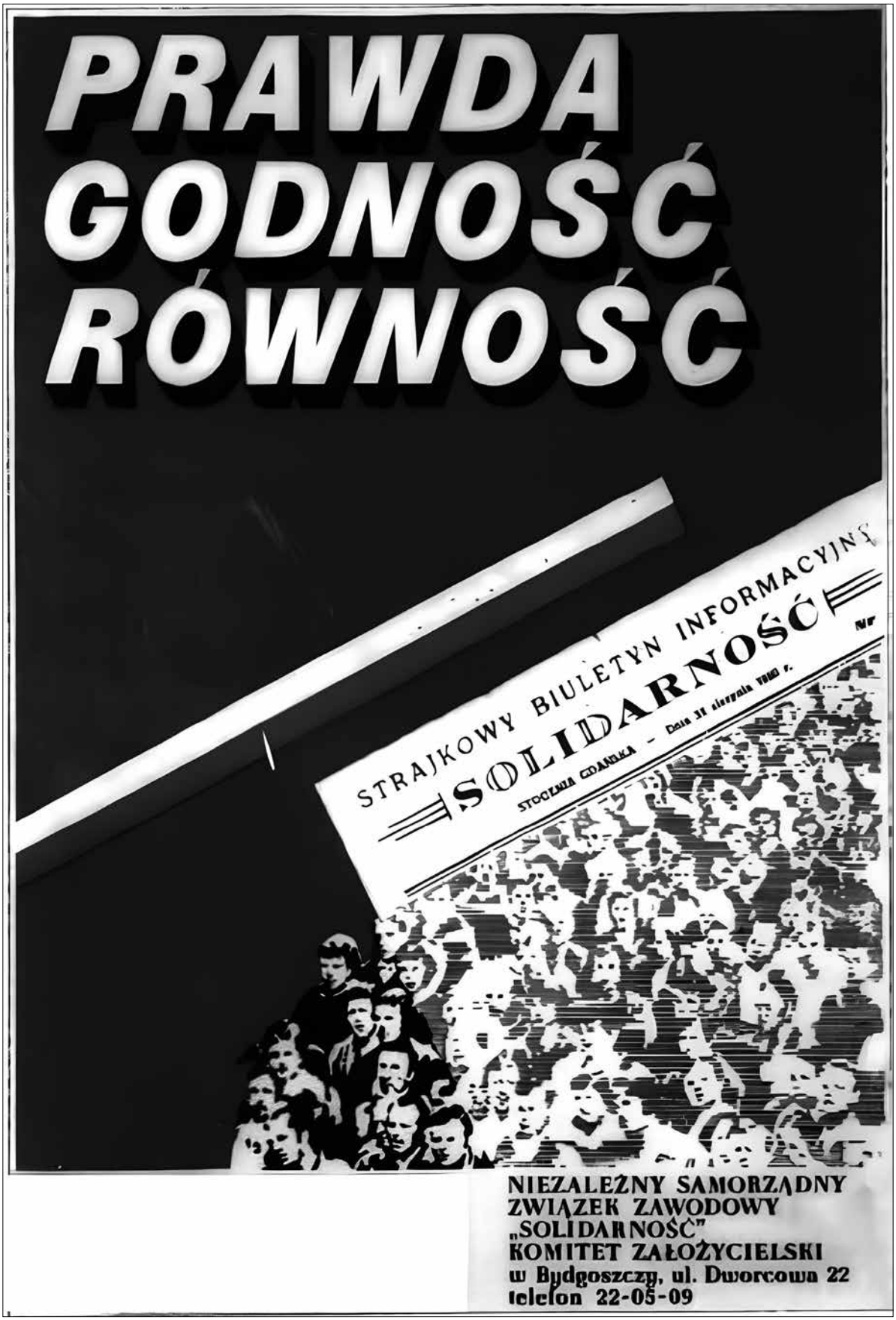

Plakat Gerarda Lewandowskiego z napisem Prawda, Godność, Równość z 25 września 1980 r. (ze zbiorów Antoniego Tokarczuka)

eprasa.pl 54376c0a4f

wpływ na sposób myślenia opozycji – pojawiają się wszystkie podstawowe koncepcje wolności. Jednakże charakterystyczną cechą myślenia o wolności w warunkach Polski komunistycznej jest łączenie jej z problematyką podmiotowości zbiorowej i jednostkowej, godności osoby i narodu, sprawiedliwości (jako równości wobec prawa, braku przywilejów, czasem jako równości ekonomicznej)" – pisał dr Jacek Kloczkowski.

Jednym z fundamentalnych haseł działalności KOR była zasada, że pomoc prześladowanym, samoorganizacja, działania jawne i pokojowe są wartościami współgrającymi z ideą równości: traktowania ludzi podmiotowo, niezależnie od ich przynależności politycznej, poziomu materialnego czy statusu społecznego.

Już wówczas równość w sensie społecznym oznaczała dla działaczy Komitetu nie tylko wolność, ale także prawo do godnego bytu, prawo do decydowania o własnym losie, prawo do wyrażenia sprzeciwu, gdy jest się poszkodowanym.

Równe szanse

W 1980 roku, wraz ze strajkami i powstaniem NSZZ „Solidarność", idea równości społecznej weszła na nowy poziom. Solidarność przyciągała ludzi o różnych przynależnościach społecznych, zawodowych, o różnym statusie – robotników, inteligencji, rolników, studentów. Równość była jedną z idei, choć niekoniecznie zawsze nazwanych wprost, która legła u podstaw dążenia do godnej płacy, zwiększenia praw pracowniczych, autonomii związkowej, samorządności oraz prawa do decydowania o warunkach pracy.

Już w postulatach Sierpnia 1980 roku zawarta była idea, że pracownicy powinni być podmiotem. Mają mieć prawa, które w praktyce były im odbierane przez system komunistyczny: kontrolę nad warunkami pracy, wynagrodzeniem, nadmiernym obciążeniem, możliwość godnego życia. Równość rozumiana była jako równość szans – niekoniecznie wyrównywanie majątkowe, ale wyrównywanie możliwości: godne warunki, dostęp do edukacji, wolność słowa, prawo zrzeszania się.

„W sferze edukacji historycznej i propagandy dowodem na to może być plakat Gerarda Lewandowskiego z napisem Prawda – Godność – Równość z 25 września 1980 roku. Plakat ten w nakładzie 3000 egzemplarzy jako pierwszy oficjalny plakat Związku rozpowszechniony był w całym kraju" – pisał Stefan Pastuszewski w opracowaniu na temat bydgoskiej Solidarności.

Idea równości, obok prądów wolnościowych, stała się także jedną z głównych zasad wewnętrznych regulacji związkowych. Solidarność miała być wspólnotą ludzi równych sobie.

Są też tacy, którzy uważają, że w pierwszym okresie działania Solidarności to właśnie równość była naczelną zasadą, do której dążono. Pragnienie wolności było następnym etapem.

„Równość utożsamiano ze sprawiedliwością. Już w porozumieniach sierpniowych domagano się zniesienia przywilejów i nierównego traktowania osób oraz sektorów życia społecznego. A w statucie NSZZ «Solidarność» objaśniono, że walka idzie o sprawiedliwość społeczną, a nie formalną równość wobec prawa. Równość oznaczała równe szanse uczestniczenia w życiu publicznym i politycznym oraz możliwość wpływania na życie polityczne i publiczne" – pisał Tadeusz Buksiński.

Transformacja otwierała Polsce i Polakom nowe możliwości, ale także wykreowała nowe nierówności: ekonomiczne, regionalne, społeczne.

Solidarność jako związek zawodowy musiała odnaleźć swoją rolę w warunkach konkurencji, prywatyzacji, nowych struktur władzy. Kluczem do działania znów stało się dążenie do równości. Równości praw pracowniczych, dostępu do podstawowych dóbr społecznych: opieki zdrowotnej, świadczeń socjalnych, zabezpieczenia emerytalnego, edukacji. Solidarność była również tą siłą, która wołała o sprawiedliwy podział kosztów transformacji; wielu ludzi poczuło,

RÓWNOŚĆ W ROZUMIENIU BRATERSTWA W DZIAŁANIACH, NIEZALEŻNOŚCI DLA WSZYSTKICH I RÓWNOŚCI SZANS JEST WARTOŚCIĄ, KTÓREJ NIKT INNY NIE PILNUJE TAK SKRUPULATNIE I CIERPLIWIE JAK SOLIDARNOŚĆ.

eprasa.pl 54376c0a4f

że ponieśli ciężar zmian (np. bezrobocie, inflacja), podczas gdy elity ekonomiczne i nowi właściciele (często uprzywilejowani) zagarnęli korzyści. To rodziło poczucie nierówności, z którą Związek walczył.

Dalsze lata i walka Solidarności o godne płace, warunki pracy, tworzenie instytucji zajmujących się dialogiem społecznym czy swobodną działalność związkową były skierowane na to, by podtrzymać i rozwinąć tę właśnie sprawiedliwość społeczną i stworzyć warunki do tego, by dalej ją rozwijać. By wszyscy byli równi wobec prawa, ale także faktycznie mieli równe szanse na rynku pracy i w społeczeństwie.

Braterstwo

W kontekście myśli ideologicznej Solidarności i KOR-u równość to nie tylko równość prawa, ale równość traktowania, prawa do godności, prawo do uczestniczenia, czyli do partycypacji społecznej, prawa głosu, prawa decydowania o warunkach pracy i losów społecznych. To podmiotowość, idea, że głos każdego ma znaczenie i każdy ma prawo do tego, by mieć wpływ na los swój, swojej rodziny i wreszcie swojej Ojczyzny.

To też idea równości ekonomicznej (w sensie prawa do godziwego wynagrodzenia, dostępu do świadczeń, ograniczania nierówności dostępu do usług publicznych) oraz politycznej (wolność zrzeszania się, wolność wypowiedzi, prawa pracownicze).

A jeśli tak rozumiemy równość, to również samo słowo „solidarność" zakłada w pewnym sensie równość.

Dziś Związek również urzeczywistnia ideę równości. Przede wszystkim równości na rynku pracy. To działania Solidarności sprawiają, że konsekwentnie podnosi się pozycja pracowników i ich reprezentacji wobec pracodawcy. Solidarność stara się równoważyć interesy pracowników wobec wyzwań wolnego rynku, akcentując prawa pracownicze, dostęp do świadczeń i sprawiedliwy podział kosztów. Przy pełnej świadomości z jednej strony, że równość w sensie formalnym jest utopijna, Związek stara się wprowadzić równość szans dla pracowników właśnie na podstawie myśli, według której działał od początku lat osiemdziesiątych.

Tak samo działa wciąż związkowa demokracja, wobec której każdy jest równy i każdy ma prawo do głosu. Wewnętrzne regulacje Solidarności są nie tylko skonstruowane według tej zasady, ale faktycznie do dziś działają w ten sposób.

Okazuje się, że przez 45 lat działania Związku, podczas których zmieniło się nie tylko otoczenie ustrojowe i polityczne, ale również porządek społeczny i charakter nierówności, idee Solidarności są uniwersalne. Równość w rozumieniu braterstwa w działaniach, niezależności dla wszystkich i równości szans są wartościami, których nikt inny nie pilnuje tak skrupulatnie i cierpliwie jak Solidarność.

JUŻ W POSTULATACH SIERPNIA 1980 ROKU ZAWARTA BYŁA IDEA, ŻE PRACOWNICY POWINNI BYĆ PODMIOTEM. MAJĄ MIEĆ PRAWA, KTÓRE W PRAKTYCE BYŁY IM ODBIERANE PRZEZ SYSTEM KOMUNISTYCZNY.

PIES NA BABY — MICHALSKI

eprasa.pl 54376c0a4f

Solidarna kontra liberalna. Stary spór w nowej odsłonie

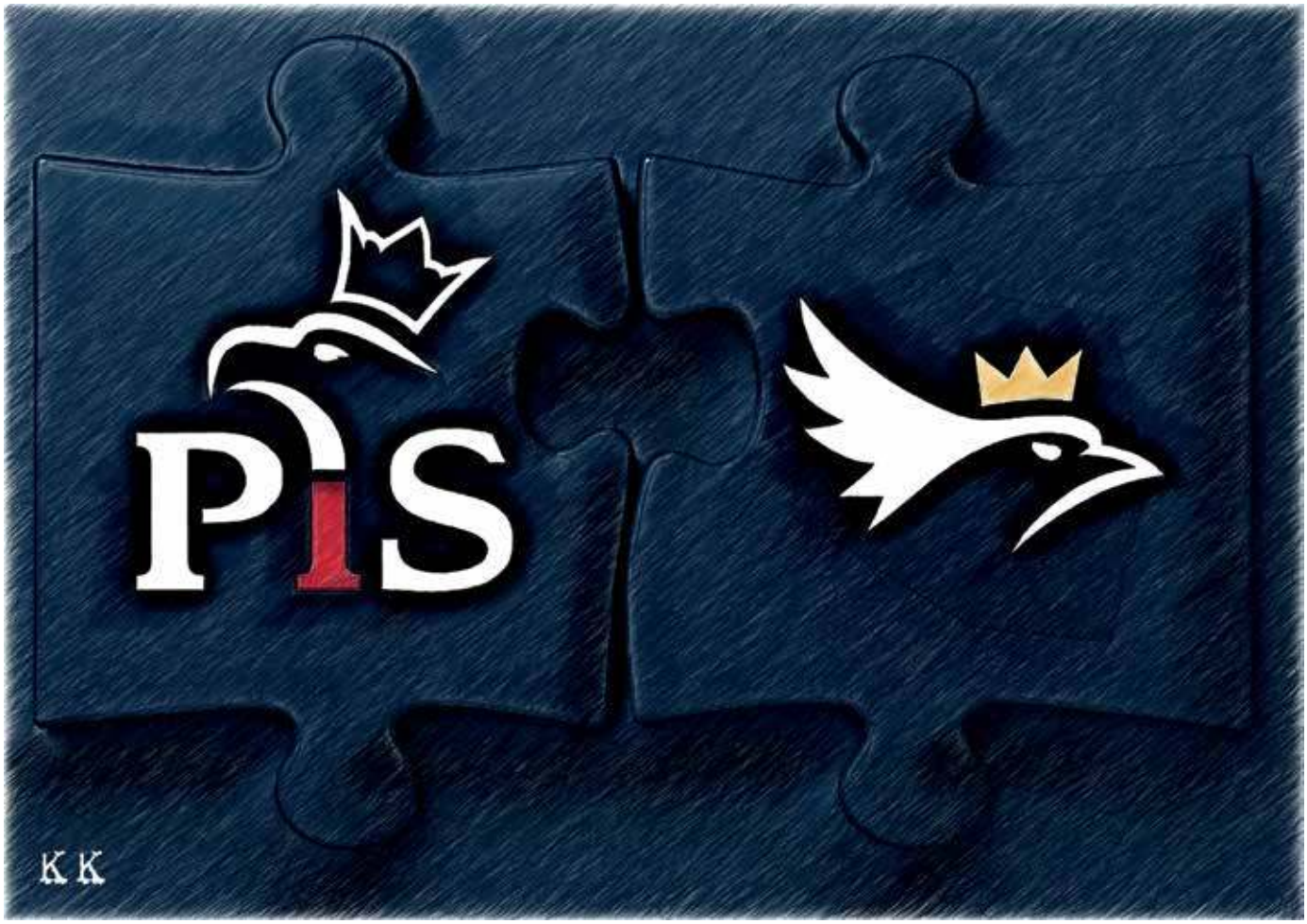

Rys. Krzysztof Karnkowski

Bez rozstrzygnięcia konfliktu między solidarystyczną wrażliwością PiS-u a indywidualistyczną tożsamością Konfederacji jakikolwiek przyszły rząd tworzony przez te formacje skazany będzie na **wewnętrzne konflikty i stopniowe gnicie**. Doskonale rozumiejący realia polityki prezes PiS Jarosław Kaczyński widzi, że ta konfrontacja jest nieuchronna.

Marek Nowak

Wzeszłym miesiącu pisałem na łamach naszego tygodnika o rysującej się przed polską prawicą nieuchronną konfrontacją między PiS-em a Konfederacją. Dziś tamta diagnoza nie jest publicystycznym nakreśleniem przyszłości, lecz opisem teraźniejszości. Pierwsza jaskółka zwiastująca polityczną burzę widoczna była zaraz po wyborach prezydenckich. Prezes PiS-u Jarosław Kaczyński zaproponował Konfederacji podpisanie „deklaracji polskiej" – dokumentu zawierającego 10 postulatów PiS-u dotyczących polityki gospodarczej, zagranicznej i społecznej. Kaczyński zapowiedział, że deklaracja jest formą otwartego zaproszenia dla Konfederacji do współpracy koalicyjnej. Jeden z liderów Konfederacji Sławomir Mentzen w ostrych słowach odrzucił możliwość podpisania tej deklaracji, a jej dziesiąty punkt podkreślający konieczność prowadzenia przez państwo

eprasa.pl 54376c0a4f

polityki mieszkaniowej nakierowanej do obniżenia ich cen nazwał „socjalistyczną bzdurą". Równocześnie niedawny kandydat na prezydenta określił prezesa PiS-u mianem „politycznego gangstera". Co warto odnotować, Sławomir Mentzen względem premiera Donalda Tuska czy polityków KO nigdy nie sięgał po tak brutalne określenia. Jednak wzajemną niechęć widać tutaj wyraźnie z obu stron. Prezes Kaczyński nie tylko osobiście nie wierzy w koalicję z Konfederacją, ale co ważniejsze – nie chce takiej koalicji. W swoich wystąpieniach podkreśla głównie różnice dzielące oba środowiska polityczne: – Wiązanie przez niektórych nas z nimi jest kompletnym nieporozumieniem. My jesteśmy po przeciwnych stronach barykady. My jesteśmy partią solidarności społecznej, wspólnoty narodowej, a oni, gdyby przeprowadzili swój program, to polskie państwo i polskie społeczeństwo wyleciałoby w powietrze. Prywatyzacja oświaty, prywatyzacja służby zdrowia, prywatyzacja lasów, bo o tym też wspominają. Słowem – prywatyzacja wszystkiego i ogromna część Polaków w sytuacji kompletnie beznadziejnej bez możliwości normalnego życia – podkreślał Kaczyński. W swoich wystąpieniach prezes PiS-u skupiał się nie tylko na krytyce Konfederacji, ale także samego Sławomira Mentzena: – My jesteśmy państwem solidaryzmu społecznego i myśmy to pokazali w praktyce. Nie może być tak, bo to nie tylko niesprawiedliwe, niegodne moralnie, ale to także skrajnie niebezpieczne dla społeczeństwa, jeżeli nożyce dochodów się tak bardzo rozwierają, jeżeli powstaje ta grupa o gigantycznych dochodach, a inni z kolei żyją w biedzie. My takiej Polski nie chcemy, to pan Mentzen takiej Polski chce i chce wprowadzić opłaty za leczenie – mówił.

Piotr Müller, dawny rzecznik rządu Morawieckiego, pokusił się nawet do porównania lidera Nowej Nadziei do Leszka Balcerowicza. Kaczyński zareagował na to złośliwą uwagą, że obaj politycy to „Nie ta sama waga". Przedstawiłem jedynie mały wycinek tego ciągle przybierającego na sile konfliktu. Czy jest to jedynie konflikt o silną pozycję w przyszłym rządzie koalicyjnym, jak twierdzą niektórzy komentatorzy, czy może zapowiedź wielkiej politycznej wojny nastawionej na wyniszczenie przeciwnika?

Punkty wspólne i różnice

Zwolennicy przyszłej koalicji PiS – Konfederacja podkreślają wszystkie te elementy, które łącza obie te formacje. Faktycznie takich elementów jest całkiem sporo. Szacunek dla historii i dziedzictwa narodowego, przywiązanie do tradycji czy też kulturowy konserwatyzm. Jeśli cokolwiek dzieli dziś obie formacje w kwestiach związanych z krytyką unijnych polityk klimatycznych i migracyjnych, to jedynie czysto talmudyczny spór o to, kto w czym był pierwszy. Kolejnym istotnym spoiwem jest też sprzeciw wobec centralizacji Unii. Jest to temat niezwykle ważny, a jego rozstrzygnięcie może mieć kluczowe znaczenie dla przyszłości Polski. Model centralizacji, w którym pozycja krajów naszego regionu będzie znacząco słabsza, jest modelem z punktu widzenia interesów naszego kraju w najlepszym razie mocno dyskusyjnym. Co więcej, wojna Rosji z Ukrainą dodała do tej kwestii dodatkowe zmienne. Obecnie kurs na przyśpieszoną integrację, jakiej oczekują od Polski Bruksela i Berlin, jest jeszcze bardziej dyskusyjny. Tu warto zastanowić się, czy gdyby od początku konfliktu Unia faktycznie była tworem bardziej scentralizowanym, mówiącym jednym głosem, to czyj byłby to głos? Czy rzeczywiście działałby na rzecz przeciwdziałania agresji Putina? Tu sceptycyzm polityków prawicy przeciw bezrefleksyjnemu parciu na bardziej jednolitą politykę zagraniczną UE okazał się racjonalny. Kolejną istotną kwestią są odczucia samych elektoratów. W niedawnej drugiej turze wyborów prezydenckich przeważająca większość wyborców Konfederacji, mając do wyboru polityka PO Rafała Trzaskowskiego i popieranego przez PiS Karola Nawrockiego, wybrała tego drugiego. Oczywiście można to odczytywać jako lęk przed oddaniem całej władzy w ręce obecnego układu i sprzeciw wobec zapowiadanego przez jej polityków „domknięcia systemu". Może to też być, przynajmniej pośredni, znak, do jakiej przyszłej koalicji elektoratowi Konfederacji bliżej. Jednak mógł być to jedynie obraz danej chwili, swoista stop-klatka tego momentu i tych nastrojów. W 2020 roku wyborcy Konfederacji w drugiej turze podzielili się na trzy niemal równe części: jedna zagłosowała na kandydata PO, druga na kandydata PiS-u, a trzecia została w domu. To, że elektorat Konfederacji kierował się innymi emocjami w tegorocznych wyborach, nie oznacza, że emocje te nie mogą ulec zmianie za nieco

PREZES KACZYŃSKI NIE TYLKO OSOBIŚCIE NIE WIERZY W KOALICJĘ Z KONFEDERACJĄ, ALE CO WAŻNIEJSZE – NIE CHCE TAKIEJ KOALICJI.

eprasa.pl 54376c0a4f

ponad 2 lata. Tym bardziej że współczesna polska polityka, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, opiera się na słowach. Inwektywy brane są za rzeczywistość przez samych polityków i przez ich elektoraty. Jednak najważniejsza jest tu inna kwestia. Zwolennicy koalicji PiS-u i Konfederacji, jak wspominałem, podkreślają kwestie, które łączą obie formacje. Zapominają jednak o różnicach. Te wydają się nie do pogodzenia. Pisałem już kilkukrotnie na łamach naszego tygodnika, że jednym z najgłębszych i najbardziej fundamentalnych podziałów socjologicznych, które występują w Polsce, jest podział między skrajnym indywidualizmem, a podejściem wspólnotowym. To niezwykle silny, głęboko zakorzeniony i wykraczający poza ramy zwykłej polityki spór dzielący społeczeństwo i scenę polityczną często w poprzek tradycyjnych podziałów. Jarosław Kaczyński ma rację, mówiąc, że PiS i Konfederacja znajdują się tu po przeciwnych stronach barykady. Pytanie, czy da się uprawiać politykę, ignorując ten podział? Oczywiście jest to możliwe, ale nie da się tego robić w sposób trwały.

Budując na pustce

Zwolennicy koalicji PiS – Konfederacja próbują przedstawić różnice między społeczną wrażliwością obu formacji jako coś nieistotnego, nawet jeśli ważnego dla jakieś części elektoratu, to przecież można tę kwestię zawiesić w imię „większego dobra”. Czym jest to „większe dobro”? Oczywiście odsunięcie od władzy obecnej ekipy jako główny polityczny cel. „Bo jak tamci będą dalej rządzić, to już wkrótce nie będzie co zbierać”, więc „trzeba ratować Polskę, a pokłócimy się później”. Głównym argumentem tej narracji są emocje dużej części elektoratu. Tylko czy te emocje nie zmienią się, gdy znienawidzona ekipa utraci władzę? Czy nie pojawią się wtedy głębsze oczekiwania względem uprawianej polityki, niż tylko „posprzątamy po tamtych”? Losy obecnej koalicji dają nam odpowiedzi na te pytania. Tam również nie odpowiedziano sobie na najważniejsze z nich w imię hasła: „trzeba ratować Polskę, a pokłócimy się później”. Jakie teraz mamy tego skutki? Albert Einstein mówił, że powtarzanie tego samego doświadczenia, licząc na inny efekt – to definicja głupoty. Po co zatem powtarzać taktykę obecnej koalicji, skoro w rezultacie przyniosła ona rząd fatalny, wewnętrznie skłócony i rozczarowujący własny elektorat? Sensowna polityka zawsze jest produktem namysłu w dużo większym stopniu niż rozgrzanych i silnych emocji. Bez opowieści o wspólnocie, jaką chcemy tworzyć, nie ma polityki. Jednak, by mieć taką opowieść, najpierw trzeba sobie postawić pytanie o kształt wspólnoty, który dana polityka chce budować. W tym sensie nie ma polityki bez pytania o model wspólnoty. Właśnie dlatego nie da się politycznie zbudować nic trwałego, odkładając na bok „spory o gospodarkę”. Pytanie o model gospodarki zawsze jest tak naprawdę pytaniem o model społeczeństwa. Tu modele PiS-u i Konfederacji stoją na antypodach. Jeśli obie prawice nie rozstrzygną tego sporu przed zawiązaniem ewentualnej koalicji, to ich przyszły rząd będzie gnił z co najmniej równą prędkością, jak czyni to obecny rząd. Nie twierdzę oczywiście, że odbudowa ładu instytucjonalnego czy szacunku do prawa po rządach „demokracji walczącej” nie jest bardzo ważna z punktu widzenia politycznego i społecznego. Twierdzę natomiast, że bez solidnego fundamentu każda taka próba będzie nietrwała, a przez to skazana na porażkę. Sprawnie działające instytucje są interfejsem demokracji, ale to pytanie o model wspólnoty jest jej fundamentem. Bez niego wszelkie próby budowania lub odbudowywania czegokolwiek będą jedynie budowaniem na pustce. Czy naprawdę tego chcą zwolennicy przyszłej koalicji PiS – Konfederacja? Budować na pustce? Cóż to za dziwaczna filozofia?

ALBERT EINSTEIN MÓWIŁ, ŻE POWTARZANIE TEGO SAMEGO DOŚWIADCZENIA, LICZĄC NA INNY EFEKT, TO DEFINICJA GŁUPOTY.

SPRAWNIE DZIAŁAJĄCE INSTYTUCJE SĄ INTERFEJSEM DEMOKRACJI, ALE TO PYTANIE O MODEL WSPÓLNOTY JEST JEJ FUNDAMENTEM.

eprasa.pl 54376c0a4f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Polacy znów bez pracy

Rządzi Donald Tusk – rośnie bezrobocie. To zasada oparta na pewności podobnej do tej, że po sobocie będzie niedziela.

W sierpniu 2025 roku bezrobocie wyniosło 5,5%. To wzrost wobec lipca, gdy wynosiło 5,4%. To także już czwarty z rzędu miesiąc wzrostu tego ponurego wskaźnika. W sierpniu było o 27 tysięcy więcej bezrobotnych niż w lipcu. Osób bez pracy mamy obecnie już 857 tys. Liczba ta wzrosła w ciągu roku o 11% i jest wyższa o 85 tysięcy osób w porównaniu do sierpnia 2024 roku.

Taki wzrost w wakacje odnotowano pierwszy raz – z wyjątkiem szczytu pandemii w 2020 roku – od dwudziestu lat. Bezrobocie zawsze malało w okresie, gdy pojawia się wiele prac sezonowych. A jeszcze bardziej ta tendencja szokuje w obliczu trendów demograficznych.

Na emerytury odchodzą każdego miesiąca 60–65-latkowie. Gdy przychodzili na świat, rodziło się w Polsce od 550 do 700 tysięcy osób. W ich miejsce wchodzą na rynek pracy urodzeni w połowie pierwszej dekady obecnego stulecia. Liczba urodzeń wynosiła wtedy ok. 350 tys. osób rocznie.

Nawet biorąc poprawkę na wcześniejsze zgony, przejścia na renty czy emigrację zarobkową, obecnie zwalnianych jest przez nowych emerytów znacznie więcej miejsc pracy niż wynosi liczba osób ją rozpoczynających. Bezrobocie powinno szybko spadać.

Zwolennicy Tuska przekonują, że wzrost bezrobocia to efekt zmian w sposobie rejestrowania. Od 1 czerwca nieco łatwiej zarejestrować się w urzędzie pracy.

To bzdura. Negatywny trend wzrostu bezrobocia zaczął się wcześniej, przed tymi zmianami. W Polsce status bezrobotnego uprawnia do nieodpłatnego leczenia w systemie NFZ. Mało kto zaniedbywał rejestrację w PUP, nawet jeśli była ona trudniejsza. Każdy wie, co oznacza poważna choroba dla możliwości leczenia i zawartości portfela, gdy nie mamy pracy i statusu osoby bezrobotnej.

O tym, że jest źle, świadczy wiele danych.Od 1 stycznia do 25 sierpnia br. zwolnienia grupowe dotknęły 19 tys. osób. To o 38% więcej niż w analogicznym okresie 2024 roku, choć już tamten rok był rekordowy od wielu lat.

Od stycznia do lipca liczba bezrobotnych, którzy stracili pracę z powodu decyzji pracodawców, a nie własnej, wyniosła niemal 259 tys. osób. To o 26 tys. więcej niż w analogicznym okresie roku 2024.

Osoby nie mogące znaleźć zatrudnienia dłużej niż sześć miesięcy to już ponad 476 tys. To tendencja wzrostowa, choć w poprzednich latach notowano w tej kategorii corocznie kilkuprocentowe spadki. Przybywa także osób bezrobotnych co najmniej rok i dwa lata.

Stale rośnie też bezrobocie wśród młodych i wynosi już 12,7% w grupie wiekowej do 25. roku życia.

Maleje też liczba wolnych miejsc pracy. Na koniec II kwartału 2025 roku było ich o 5,2% mniej niż rok temu. W liczbach bezwzględnych jest ich obecnie 95,7 tys., czyli o ponad 15 tys. mniej niż przed rokiem.

Liczba ofert pracy jest najniższa od apogeum pandemii w 2020 roku. W ciągu roku zmalała o 9%.

Jak to szło w wywodach liberałów? Że Tusk zna się na gospodarce? Właśnie widzimy. Najbardziej widać to po kolejkach do pośredniaków.

eprasa.pl 54376c0a4f

Harmonia społeczna – zapomniana wartość

Od momentu narodzin myśli konserwatywnej harmonia społeczna była stawiana **w opozycji** do idei rewolucyjnych. W czasach demokracji liberalnej nie jest już podnoszona jako wartość centralna – co, jak się zdaje, ma swoje opłakane konsekwencje.

Ludwik Pęzioł

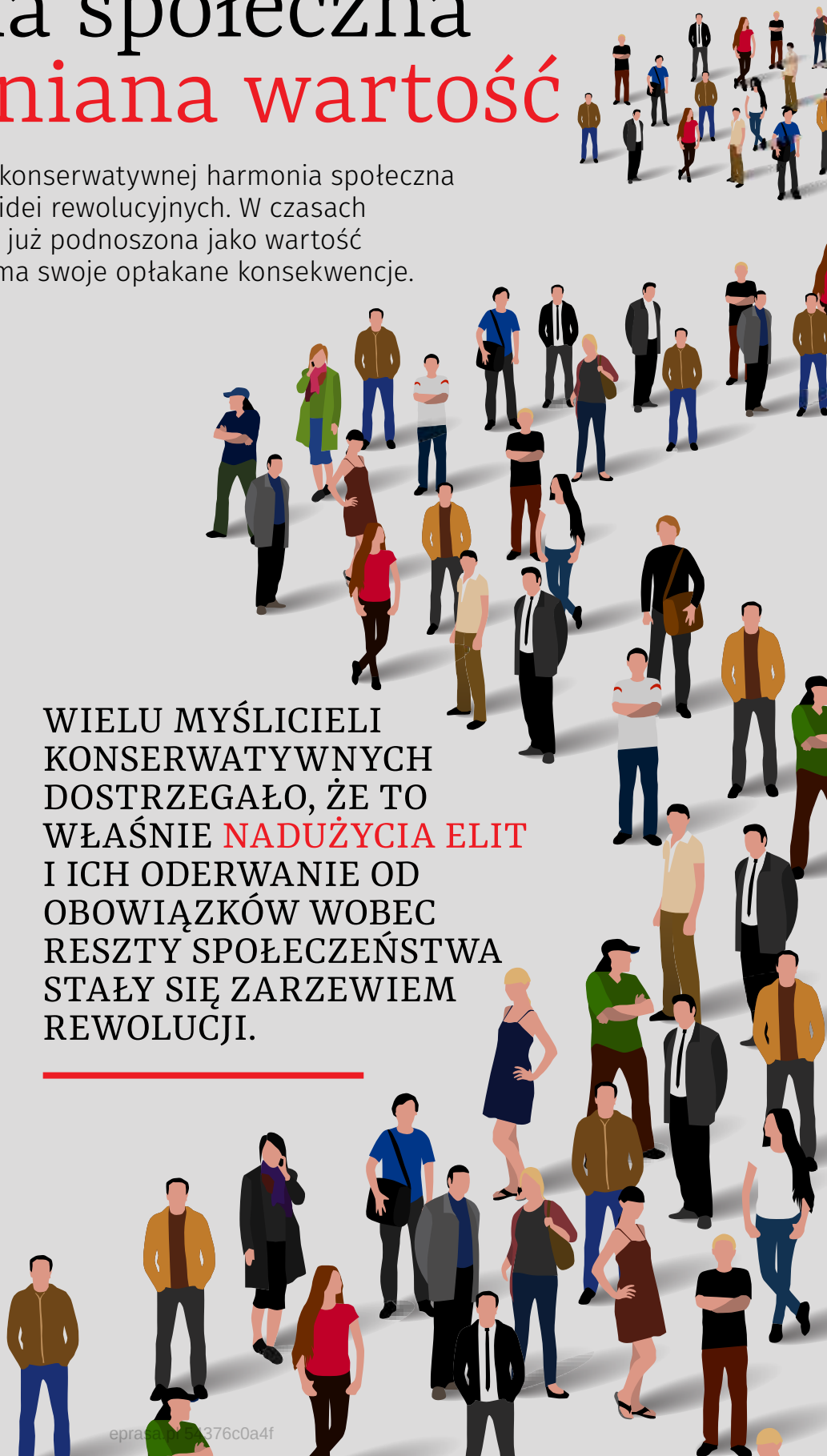

Pochwałę harmonii społecznej niosła już książka uważana za dzieło założycielskie doktryny konserwatywnej – „Rozważania o rewolucji we Francji" Edmunda Burke'a z 1790 roku. Burke argumentował, że lekkomyślnie obalane Stany Generalne we Francji składały się z różnorodnych elementów odpowiadających zróżnicowanym warstwom społecznym, które razem tworzyły harmonijną całość. Zauważał, że pomiędzy tymi warstwami istniały tarcia i sprzeczne interesy, ale właśnie dzięki ich instytucjonalnemu zakorzenieniu powstawała „zbawienna tama dla wszelkich pochopnych decyzji". Zmiana społeczna była możliwa, lecz stawała się wynikiem kompromisu, który wymuszał umiarkowanie. Burke podkreślał także, że ludzie nie są jednakowi – powinni więc mieć różne przywileje i różne obowiązki – podczas gdy rewolucyjni „alchemicy" wrzucali wszystko do jednego kotła, by spreparować homogeniczną „biomasę".

Dziś konserwatyzm nie oznacza już tego samego co w XVIII wieku – próba przywrócenia porządku stanowego może chodzić po głowie jedynie najbardziej zaciekłym

WIELU MYŚLICIELI KONSERWATYWNYCH DOSTRZEGAŁO, ŻE TO WŁAŚNIE NADUŻYCIA ELIT I ICH ODERWANIE OD OBOWIĄZKÓW WOBEC RESZTY SPOŁECZEŃSTWA STAŁY SIĘ ZARZEWIEM REWOLUCJI.

eprasa.pl 5e376c0a4f

Fot. Adobe Stock

reakcjonistom – jednak samo myślenie o społeczeństwie jako o organizmie, w którym następuje racjonalna dystrybucja przywilejów i obowiązków, pozostało aktualne. Można powiedzieć, że dla konserwatysty harmonia społeczna jest czymś w rodzaju dobra wspólnego – tym, co sprawia, że różne części ciała społecznego mogą współdziałać, a nie się zwalczać.

Między równością a hierarchią

Literatury przestrzegającej przed działaniami rewolucyjnymi, dążącymi do sztucznego ujednolicenia społeczeństwa, znajdziemy w kanonie konserwatywnym wiele. Rzadziej natomiast spotyka się krytykę dogmatycznej hierarchii – choć i taka istnieje. Wielu myślicieli dostrzegało, że to właśnie nadużycia elit i ich oderwanie od obowiązków wobec reszty społeczeństwa stały się zarzewiem rewolucji. „Często spacerowałem po pustym parku; tu, pośród orgii księcia Orleanu, zaczęła się rewolucja; park zdobiły nagie marmurowe figury i sztuczne ruiny, symbole lekkomyślności i rozpustnej polityki, która miała zapełnić Francję nierządnicami i gruzami” – pisał w „Pamiętnikach zza grobu” wicehrabia François-René de Chateaubriand.

Choć konserwatyści uznawali istnienie różnych warstw społecznych za coś naturalnego, a nawet wskazanego (uzasadniając to prawami Bożymi, naturą lub funkcjonalnością społeczną), nie romantyzowali samej hierarchii. Dostrzegali możliwość jej nadużyć i przestrzegali przed absolutyzacją jednej grupy kosztem innych. Zamiast tłumić różnice – co charakteryzuje rewolucje zarówno dawne, jak i współczesne – postulowali wykorzystanie ich w sposób korzystny dla całości. „Ustalenie przez ustawodawstwo praw i obowiązków, które zakładają, że ludzie są równi, gdy nie są, to jak próba sprawienia, by niezdarne stopy wyglądały przystojnie za pomocą ciasnych butów” – pisał konserwatywny angielski sędzia James Fitzjames Stephen w 1873 roku – „prawa i obowiązki powinny być tak ukształtowane, aby ubrać, chronić i utrzymać społeczeństwo w pozycji, którą naturalnie przyjmuje”. Ostatnie zdanie zwraca również uwagę na samoistną adaptację wspólnoty do zmiennych warunków, pozwalających jej przetrwać. Powstałe w tym procesie instytucje zawsze jednak działają lepiej i (wbrew idealistom) mniej opresyjnie od tych zaprojektowanych przez pyszne rozumy rewolucjonistów.

HISTORIA NOWOŻYTNA WIELOKROTNIE POKAZYWAŁA, ŻE TAM, GDZIE KONFLIKT ZOSTAŁ UZNANY ZA JEDYNĄ ZASADĘ ŻYCIA ZBIOROWEGO, KOŃCZYŁO SIĘ TO TRAGEDIĄ.

Arena współpracy czy konfliktu

Prześwitująca w refleksji konserwatywnej metafora organizmu społecznego wskazuje na pewną całość, która zmierza do efektywnego – a więc harmonijnego – współdziałania. W takim ujęciu każda z części pełni swoją funkcję i jest potrzebna dla zdrowia całego organizmu.

Zgoła odmienną perspektywę oferuje idea rewolucyjna. W jej

eprasa.pl 54376c0a4f

świetle społeczeństwo nie jawi się jako ciało, lecz jako arena nieustannego konfliktu, w której walka o bezwzględną dominację stanowi naturalną kolej rzeczy. Cały sens życia społecznego zostaje tu sprowadzony do leninowskiego pytania: „kto kogo?". Taka wizja jest jednak trudna do uzasadnienia.

Po pierwsze, zakłada całkowite podporządkowanie jednej warstwy drugiej, tymczasem grupy społeczne są wielowymiarowe, a pola władzy nieustannie się ze sobą przecinają. Grupa A może mieć przewagę nad grupą B w jednej dziedzinie, lecz w innej – z racji kompetencji, specjalizacji czy doświadczenia – sytuacja może się odwrócić. Po drugie, istnieją sposoby łagodzenia niesprawiedliwości społecznych i form ucisku, które nie zakładają radykalnych rozwiązań rewolucyjnych. Po trzecie, instytucje powstałe w toku ewolucji społecznej często zawierają w sobie liczne „osłody" – mniej oczywiste niż gratyfikacje ekonomiczne, ale równie istotne. Mogą to być: uznanie, prestiż, szacunek czy możliwość realizacji aspiracji w ramach istniejącego ładu.

Od przyjęcia jednej bądź drugiej perspektywy zależy bardzo wiele, ponieważ staje się ona swoistą samospełniającą się przepowiednią. Jeżeli widzimy w społeczeństwie harmonijnie funkcjonującą całość – jak np. w klasycznej socjologii funkcjonalistycznej – tym większa szansa, że uda się utrzymać względny spokój społeczny i szukać kompromisów zamiast eskalacji konfliktów. Natomiast jeśli dominować będzie optyka „nieuniknionej walki klas" lub „politycznych tożsamości", może to prowadzić do radykalizacji, rozbijania więzi społecznych i przekonania, że przemoc jest jedynym skutecznym narzędziem zmiany. Historia nowożytna wielokrotnie pokazywała, że tam, gdzie konflikt został uznany za jedyną zasadę życia zbiorowego, kończyło się to tragedią – czy to w postaci rewolucyjnego terroru, czy totalitaryzmów XX wieku. W tym sensie konserwatywna wizja harmonii społecznej nie jest jedynie marzeniem o „świętym spokoju", ale praktycznym antidotum na destrukcję ładu, który – choć niedoskonały – daje ludziom szansę na współistnienie bez wzajemnej eksterminacji.

Harmonia w dobie demokracji liberalnej

Obecny ustrój liberalno-demokratyczny nie sprzyja harmonii społecznej na wielu płaszczyznach. Jego przechył w stronę skrajnego indywidualizmu każe widzieć w społeczeństwie zatomizowany zbiór jednostek, a nie ciało. Społeczeństwo staje się areną rywalizacji, w której każdy walczy o jak największą część tortu kosztem innych i coraz rzadziej dostrzega powiązanie własnych działań z dobrem ogółu – a niekiedy w ogóle neguje istnienie takiej kategorii.

Innym problemem jest wprowadzanie dodatkowych polaryzacji w celu osiągnięcia doraźnych korzyści przez podmioty kapitałowe czy polityczne. Mechanizm ten kawałkuje wspólnotę jeszcze bardziej, często wzdłuż sztucznie skonstruowanych linii podziału. Partie polityczne funkcjonują dzięki podsycaniu konfliktu – wrogość staje się ich paliwem. Równocześnie kult tolerancji zabrania oceniać reguły kulturowe pod kątem ich efektywności (np. prokreacyjnej), gdyż „każdy może żyć jak chce". Wreszcie, prymat liberalnie rozumianej wolności każe patrzeć na wartość samego porządku społecznego z podejrzliwością – jako krępujący jednostkę, stanowiący preludium do autokracji i totalitaryzmów – zamiast widzieć w nim warunek pokoju społecznego i rozwoju jednostki. Jeżeli dodamy do tego rozkład kodów kulturowych i niemożność wzajemnego porozumienia się ludzi, zbliżamy się do wizji nowej liberalnej wieży Babel.

W dłuższej perspektywie ustanowienie harmonii społecznej (pod tą czy inną nazwą) na powrót istotną wartością wydaje się nieuniknione, bo chaos jest stanem z definicji nietrwałym. Społeczeństwa, które przez długi czas trwają w stanie ostrego konfliktu i rozproszenia, stopniowo marnują swoje zasoby, stają się niezdolne do obrony i utrzymania własnej autonomii. Harmonii nie można więc traktować jako konserwatywnej nostalgii, lecz jako konieczność cywilizacyjną: warunek przetrwania wspólnoty i jej dalszego rozwoju. Również materialnego.

SPOŁECZEŃSTWO DEMOLIBERALNE STAJE SIĘ ARENĄ RYWALIZACJI, W KTÓREJ KAŻDY WALCZY O SWOJE I CORAZ RZADZIEJ DOSTRZEGA POWIĄZANIE WŁASNYCH DZIAŁAŃ Z DOBREM OGÓŁU.

eprasa.pl 54376c0a4f

Piotr Skwieciński

Byng, czyli memento

To jest bardzo znany obraz. Oficer w osiemnastowiecznej peruce klęczy na pokładzie drewnianego okrętu. Na poduszce – co ma podkreślić jego status. Oczy ma zawiązane chustką. W czubkach palców trzyma drugą chustkę. Właśnie ją upuszcza, i to jest najwyraźniej sygnał dla dwóch szeregów stojących przed nim żołnierzy, którzy salwą palą do niego z karabinów. Bo to jest egzekucja, której z boku przygląda się kilku ubranych na czarno mężczyzn. Oczywiście też w perukach. Na niektórych wersjach obrazu jeden z nich płacze.

Rzecz dzieje się w 1757 roku, na samym początku wojny siedmioletniej. Rozstrzeliwany to admirał John Byng, odpowiedzialny za zdobycie Minorki przez Francuzów. Został wyrokiem sądu stracony na mostku kapitańskim swojego okrętu flagowego HMS „Monarch". Przy czym nie za zdradę, tchórzostwo ani korupcję – nic z tego mu nie udowodniono.

Za zaniedbania.

Historycy nie są zgodni w ocenie stopnia osobistej winy Bynga. Wielu podkreśla, że odpowiedzialnych za nieprzygotowanie floty było więcej, w tym wyżej niż Byng postawionych. Innymi słowy – albo nie należało pozbawiać życia za to nikogo, albo nie tylko Bynga. Jest w tym oczywiście pewna logika.

Jednak kiedy po raz kolejny słyszę o tym, że dziś, przeszło trzy i pół roku po rozpoczęciu na Ukrainie pełnoskalowej wojny, wojny, która zmieniła w sztuce wojowania prawie wszystko, nasza armia wciąż „rozwija się" po staremu, wciąż „przygotowuje się" do ewentualnego starcia takiego, jak widziano je 20 lat temu... Że generałowie i politycy wirtualnie machają ręką na ukraińskie doświadczenia, bo w sumie po co nam one, przecież kupujemy najlepszy sprzęt amerykański... A nawet jeśli Amerykanie jeszcze nie mają sprzętu pozwalającego na obronę przed jakimś nowym zagrożeniem, to już za chwileczkę, już za momencik ten sprzęt opracują, to wtedy go sobie za ciężkie pieniądze kupimy i już będzie pięknie... Że od 24 lutego 2022 roku nie wybudowano w Polsce żadnego nowego schronu przeciwlotniczego ani nie uzdatniono żadnego starego, skonstruowanego dawno temu i wykorzystanego na inne potrzeby. Że w tych sprawach trwa nieśpieszny ping-pong pomiędzy władzami samorządowymi a centralnymi, bo przecież wiadomo, iż co nagle, to po diable...

Wtedy przypominam sobie, że rozstrzelanie Bynga Wolter skomentował w „Kandydzie" słowami: „Czasami trzeba zabić jakiegoś admirała, żeby dodać odwagi innym". Tchórzem akurat Byng nie był, ale nie tylko tchórzostwo potrafi owocować upiornymi skutkami.

I nie tylko tchórzostwo można skutecznie ograniczać nadzwyczajnymi metodami. W czasie wojny Stalin polecił ministrowi Bajbakowowi, żeby odkrył nowe złoża ropy. Bajbakow szepnął, że rezultatu poszukiwań nie można być nigdy pewnym.

– Będzie ropa, będzie Bajbakow. Nie będzie ropy, nie będzie Bajbakowa – odpowiedział Stalin i zaciągnął się fajką.

Wkrótce zostały odkryte nowe złoża w Tatarstanie i Baszkirii.

Mówiąc zupełnie poważnie – jesteśmy w sytuacji o tyle wyjątkowej, że historia podarowała nam czas. Że obserwujemy w czasie rzeczywistym to, co się dzieje za południowo-wschodnią granicą. Nie tylko wiemy o zagrożeniu, ale też o tym, jak w nowej rzeczywistości się ono materializuje i jak sobie z nim radzą ci, którym czas nie został podarowany. Jeśli przyszłoby co do czego, to nikt nie będzie miał prawa powiedzieć, że został zaskoczony. Jeśli więc po tym wszystkim okazałoby się, że nie wyciągnęliśmy z tego wniosków, to...

To polskich Byngów powinno być wielu. I już dziś kandydaci do tej roli powinni zdawać sobie z tego sprawę. Dlatego obraz „Egzekucja admirała Bynga" kazałbym powiesić w wielu gabinetach w Polsce. Wojskowych i cywilnych.

Tak jest – jako memento.

eprasa.pl 54376c0a4f

Do równości pracowniczej jeszcze daleko

Fot. arch.

eprasa.pl 54376c0a4f

– Jeśli mój partner, którym jest pracodawca, nie chce ze mną, czyli ze związkiem, zacząć układu zbiorowego pracy, to co to oznacza? Ja jestem gorszy, bo on ma lepsze informacje, jest decydentem, a ja nie bardzo wiem, co będzie jutro. Gdzie tu jest równość? – mówi **Waldemar Bartosz** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

– Jest Pan w Solidarności od początku, zakładał Pan struktury związku. Jak wówczas rozumiano równość?

– Gdy przypominam sobie 1980 rok, to porusza mnie niezwykła dynamika działania w tamtym czasie. Równość była wtedy bardziej kojarzona ze sprawiedliwością. To nie oznaczało, że ma być po równo, chodziło raczej o proporcjonalność. Gdy byłem przewodniczącym Delegatury Zarządu Regionu w Jędrzejowie, przychodzili ludzie i opowiadali, że gdzieś są bardzo bogaci, mają wille, pieniądze, nic im nie brakuje, co w rzeczywistości powszechnych niedoborów wzbudzało niechęć. Ale już wtedy wobec tych bogatych, którzy zarobili pieniądze uczciwie, ciężką pracą, nie było oburzenia. Złość skupiała się na ludziach nomenklatury partyjnej. Oburzenie było wobec nadużyć władzy, kiedy ktoś musiał komuś coś dać, żeby załatwić sprawę. Generalnie już wtedy pojęcie równości kojarzyliśmy ze sprawiedliwością, nie chodziło o równość jako utopię, w której wszyscy mieli mieć tak samo i po tyle samo.

– Czyli każdemu według zasług.

– Nam chodziło o naruszenie proporcjonalności, bo wówczas nie ma równości. Jeden z głównych defektów PRL polegał na tym, że byli lepsi i gorsi, równi i równiejsi. Lokalny sekretarz partyjny nie tylko rządził, on dysponował wszystkim, co wtedy było możliwe do zdobycia. Z równością łączę jeszcze jedno zjawisko. Otóż zgłaszali się do nas ludzie należący do partii, ich też nie skreślaliśmy od razu, jeżeli byli przyzwoici, nie współpracowali z aparatem represji, nie byli dyskwalifikowani. Traktowaliśmy ich równo.

– Walczyliście o równość w systemie autorytarnym, równość w dostępie do dóbr i równy dostęp do informacji.

– Powiem generalnie: o równość pozycji. Skoro niektórzy mają dostęp większy niż pozostali, tylko dlatego że są członkami partii, to gdzie tu równość? Ograniczenia w dostępności do informacji, wiedzy, co się dzieje w świecie, jawności władz, jest bardzo dużym ograniczeniem równości. Nie przypadkiem powstawało wtedy mnóstwo gazetek i pism podziemnych, nie chcieliśmy być skazani na propagandę. Pamiętam kolejki ludzi przed siedzibą regionu, którzy potrafili długo wyczekiwać, by zdobyć informacje. Deficyt wiedzy, co się dzieje, oznaczał deficyt poczucia równości.

– Równość, o której Pan mówi, stoi obok wolności. Walczyliście o wolność, ale nie była ona możliwa bez równości.

– Oczywiście. Człowiek, który nie jest wolny, odczuwa to jako brak równości, ponieważ ktoś ma prawo do większej ilości dóbr, informacji, a ja tego prawa nie mam. Brakiem równości jest także niemożność poruszania się poza granice Polski. Ja nie mogłem wyjechać za granicę, ponieważ ciągle odmawiano mi otrzymania paszportu, natomiast moi dalsi znajomi, mając tzw. układy, otrzymywali je bez problemu. Jeżeli nie dostaję paszportu, to jaka to jest wolność? A gdy otrzymuje go ktoś inny, to oprócz braku wolności nie ma też równości.

– Równość, szczególnie w systemie demokratycznym, wyraża się także w jawności władz, ich poczynań.

– Systemy autorytarne i totalitarne polegają na tym, że nie ma w nich jawności władzy, władza nie musi się tłumaczyć ze swoich decyzji. Jawność w demokracji jest jedną z podstawowych składowych równości. Nasz zryw, powstanie związku, wiązał się właśnie z brakiem jawności władz, ich przejrzystości. Skoro władza się nie chce dzielić swoimi decyzjami, to oznacza, że reszta społeczeństwa jest gorsza?

W 1981 ROKU RÓWNOŚĆ BYŁA KOJARZONA ZE SPRAWIEDLIWOŚCIĄ. OBURZAŁY NAS NADUŻYCIA WŁADZY I PRZYWILEJE NOMENKLATURY.

eprasa.pl 54376c0a4f

– Partycypacja władzy w roku 1980 była raczej abstrakcyjną ideą, teraz mamy demokrację, jak Pan ją ocenia?

– Proszę zwrócić uwagę – ja często o tym mówię – że w jednym z punktów zjazdu w 1982 roku była „Samorządna Rzeczpospolita", czyli udział obywateli w rządzeniu, partycypacja. Ale partycypacja nie tylko we władzy lokalnej, ale także w zakładzie pracy, to równie ważne. Chciałbym współdecydować o miejscu, w którym pracuję, w którym spędzam dużą część życia. Do dzisiaj niestety ten punkt nadal wymaga naszej pracy i naszych starań. Obecnie jesteśmy z tym do tyłu. Partycypacja pracowników w miejscach pracy jest według mnie ujemna. O ile rady pracownicze za PRL były chore, chociaż w 1981 roku wybory do rad pracowniczych były demokratyczne, to w tej chwili nie ma ich w ogóle. Tutaj poczucie spychania obywatela, szczególnie pracownika, do drugiej kategorii jest bolesne.

PARTYCYPACJA PRACOWNIKÓW W MIEJSCACH PRACY JEST WEDŁUG MNIE UJEMNA.

– W czasie zorganizowanej przez Pana debaty o społecznej gospodarce rynkowej była mowa o układach zbiorowych pracy, tutaj też możemy obserwować regres?

– Z tym jest bardzo słabo, jeśli mój partner, którym jest pracodawca, nie chce ze mną, czyli ze związkiem, zacząć układu zbiorowego pracy, to co to oznacza? Ja jestem gorszy, bo on ma lepsze informacje, jest decydentem, a ja nie bardzo wiem, co będzie jutro. Gdzie tu jest równość? Mamy dysproporcję.

– Wracając jeszcze do kieleckiej debaty – jak idea równości realizuje się w warunkach społecznej gospodarki rynkowej?

– Ten temat nie był przypadkowy, niejako sam się nam narzucił. Zapisy konstytucyjne, szczególnie art. 20, mają się nijak do rzeczywistości, która panuje w Polsce. Do społecznej gospodarki rynkowej, równości społecznej i pracowniczej jest nam jeszcze daleko. Owszem, są pewne przesłanki w postaci programów socjalnych, płacy minimalnej, to droga w tym kierunku. To też duża zasługa NSZZ „Solidarność". Powiem nawet odważnie – gdyby nie związek, mielibyśmy państwo oligarchiczne, w którym obywatel w sferze społecznej i pracownik w sferze gospodarczej nic by nie znaczyli. W tym sensie istnienie niezależnego związku zawodowego jest sprawą kapitalną.

POWIEM ODWAŻNIE, GDYBY NIE SOLIDARNOŚĆ, MIELIBYŚMY PAŃSTWO OLIGARCHICZNE, W KTÓRYM OBYWATEL W SFERZE SPOŁECZNEJ I PRACOWNIK W SFERZE GOSPODARCZEJ NIC BY NIE ZNACZYLI.

– Usłyszałem kiedyś chyba najprostszą definicję równości, zawierającą jednocześnie problem, który się w niej zawiera: „W kapitalizmie każdy ma inną głowę, ale wszyscy mają takie same żołądki".

– Rozumiemy to jako proporcjonalność. Pewne podstawowe potrzeby są jednoznaczne jak prawo do życia, prawo do godnego życia, a co za tym idzie – prawo do godnej pensji minimalnej. Jednak komuś, kto pracą, talentami wybija się ponad przeciętność, wręcz należy się ta pozycja, choćby dlatego że jest to korzyść dla społeczności.

– Kiedy idea równości staje się niebezpieczną utopią? Czy inkluzywność staje się niebezpieczna dla idei równości?

– Oczywiście, że wszystko wszystkim się nie należy. Bardzo często skrajnie lewicowa propaganda próbuje wszystko zrównać. Tak się

eprasa.pl 54376c0a4f

nie da, są pewne naturalne różnice, które nie pozwalają z przyczyn obiektywnych na równość.

– Pytam o inkluzywność, ponieważ to ogromny problem choćby w edukacji. Są sytuacje, gdy nauczyciel na lekcji nie nadąża zmieniać pieluch dzieciom niepełnosprawnym, co z resztą uczniów?

– Sam pochodzę ze środowiska oświatowego i wiem, o czym Pan mówi. Byłem kiedyś w pewnym zespole na poziomie krajowym, gdzie były związki, przedstawiciele rządu, środowiska nauczycieli. Padła wtedy propozycja, by stopień skolaryzacji wyższego wykształcenia był na poziomie nawet 50%. No bzdura, krzywa Gaussa pokazuje, jaki jest normalny rozkład w każdej społeczności: 25% bardzo zdolnych, 25% bardzo słabych, cała reszta to średnia. Jeżeli zakładamy, że 50% ma mieć wyższe wykształcenie, a jest to propozycja unijna, to albo obniżymy poziom nauczania do niskiego, co się dzieje, albo zrobimy klasy, do których będzie chodzić pewna elita, a reszta będzie z orzeczeniami. Taka inkluzywność to szkodliwa bzdura, bo jest nierealistyczna. Iloraz inteligencji różni się u ludzi. Tak jest i nic tego nie zmieni. Co innego, gdy mówimy o równości szans podczas wchodzenia w dorosłe życie itp.

– Jak widzi Pan sytuację idei egalitaryzmu, równości materialnej w Polsce?

– Myślę, że ona jest, a społeczeństwo m.in. dzięki Solidarności jest na nią wyczulone. Mamy płacę minimalną, dostęp do edukacji, nie widzę tutaj wielkich zagrożeń. To nie jest tak, że nie ma ich wcale, jednak nie jest z nią w Polsce źle. Tutaj musimy patrzeć na obiektywność i celowość. Wprawdzie nie wiem, kto potrzebuje pięciu mieszkań, ale ten, kto ma jedno, może uważać się za gorszego od posiadacza wielu z nich. W Polsce ludzie harują, by dorównać do pewnych standardów, które stają się coraz wyższe. Jednak proszę zauważyć – nastrój społeczny jest egalitarny, jako społeczeństwo chcemy mieć równy dostęp „do".

Waldemar Bartosz – absolwent Wydziału Filozofii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, przewodniczący NSZZ „Solidarność" Regionu Świętokrzyskiego.

eprasa.pl 54376c0a4f

Talent to nie wszystko

Prywatyzacja oferty oświatowej oraz przesunięcie się procesu edukacji ze szkoły na zajęcia dodatkowe i korepetycje **zmniejsza szanse** edukacyjne dzieci z niezamożnych rodzin. Raport w tej sprawie przygotowała Fundacja Świętego Mikołaja. Charakter, skala i szybkość zachodzących zjawisk mogą zaskoczyć.

Barbara Andrijanić

Smutny jest obraz polskiego szkolnictwa, a rząd zamiast problemy likwidować, tworzy nowe, przekraczając kolejne granice absurdu. Wrze w kwestiach podstawy programowej, co dodatkowo pogłębia podział wśród rodziców i uczniów rozpoczynających z lękiem nowy rok szkolny.

O ile podręczniki do szkoły podstawowej dzieci dostają za dar-

eprasa.pl 54376c0a4f

Fot. Emilia Bąk

mo (chyba że nie wszystkie oddały je w czerwcu w stanie nadającym się do ponownego użytku i trzeba je odkupić), o tyle za komplet do szkoły średniej trzeba zapłacić kilkaset złotych (i to cena w antykwariacie za książki z drugiej ręki). Niektórzy posiłkują się kiermaszami i internetem i jest to naprawdę doskonałe rozwiązanie ratujące domowy budżet, jeśli w domu mamy więcej niż jednego nastolatka. Wrzesień to również wyjazdy integracyjne dla pierwszoklasistów, a więc konieczność kolejnego przelewu na kilkaset złotych. Do wyprawki trzeba dorzucić ubrania. Braki modnego wśród rówieśników outfitu (bo plecak ma być czarny, spodnie szerokie, a bluza za duża i najlepiej też czarna) może się równać z bolesnym wykluczeniem, a zatem wyjmujemy kartę i płacimy. Do tego bilety na dojazdy i obiady. Wydawać by się mogło, że to koniec problemów rodziców i uczniów, z którymi muszą sobie poradzić na początku roku szkolnego, ale jesteśmy w błędzie. Okazuje się bowiem, że za chwilę czeka nas regularny odpływ gotówki na poczet korepetycji i zajęć dodatkowych. W ciągu ostatnich 10 lat procent rodziców je opłacających wzrósł z 32 do 74, o czym czytamy m.in. w raporcie przygotowanym przez Fundację Świętego Mikołaja. I nie zawsze chodzi o pomoc uczniom wykazującym wyjątkowe zdolności, ale lekcje, które pomogą im zrozumieć materiał zaplanowany w podstawie programowej i zdobyć wytęsknione punkty, aby dostać się do renomowanych liceów i tam kontynuować walkę o jeszcze bardziej renomowane studia. Jednak nie każdy polski uczeń ma równe szanse edukacyjne.

Na podstawie danych pochodzących z ogólnie dostępnych rejestrów publicznych i badań społecznych Fundacja Świętego Mikołaja przygotowała raport, który analizuje sytuację polskich uczniów, ich rodzin w kontekście dostępu do edukacji. Wynika z niego jasno, że w Polsce mieszka ogromna grupa dzieci, których na wyżej wymienione wydatki zwyczajnie nie stać, przez co doświadczają wykluczenia edukacyjnego. Mimo większej motywacji do zdobywania wiedzy, o czym również czytamy w raporcie, dzieci z małych miejscowości nie mają równych szans, tak jak ich rówieśnicy z dużych aglomeracji.

FUNDACJA SZACUJE, ŻE CO NAJMNIEJ 60 TYSIĘCY UCZNIÓW POSIADA WYSOKĄ MOTYWACJĘ I PONADPRZECIĘTNE UZDOLNIENIA, A 12 TYSIĘCY Z NICH JEST SZCZEGÓLNIE UZDOLNIONYCH.

Szkoła średnia i studia

Powszechność średniego wykształcenia (ogólnokształcącego, technicznego, zasadniczego zawodowego i policealnego/pomaturalnego) jest cechą charakterystyczną krajów Europy Środkowo-Wschodniej należących do dawnego bloku wschodniego, a Polska zajmuje tu trzecie miejsce – po Litwie i Czechach. Ciekawe, że gorszy od naszego wynik odnotowano w wielu bogatszych krajach m. in. Francji czy Niemczech. W ciągu ostatnich 20 lat model zdobywania średniego wykształcenia w Polsce się nie zmienił, we Włoszech wzrósł, ale np. w Niemczech spadł, gdzie odnotowuje się większą liczbę osób z wykształceniem tylko podstawowym. Jeśli chodzi o miejsce w rankingu krajów z największą liczbą osób po studiach, Polska plasuje

eprasa.pl 54376c0a4f

się dopiero na 13. miejscu. Jednak jeśli przyjrzymy się tempu zmian, jesteśmy już w czołówce za malutkim Luksemburgiem czy Maltą oraz sąsiednią Słowacją. Bardzo cieszy fakt, że nasze aspiracje w zakresie posiadania studiów rosły w ostatnich latach bardzo dynamicznie.

Edukacja publiczna do poprawki

W raporcie bardzo źle wypadła ocena edukacji publicznej w Polsce. Niezadowolenie dotyczy wszystkich typów szkół, od podstawowych po zawodowe, i z roku na rok wzrasta. Mniej niż połowa Polaków ocenia polskie szkolnictwo pozytywnie. W większości korzystamy z publicznej edukacji (93%), ale od 10 lat można zaobserwować niewielki, 3-procentowy wzrost zainteresowania szkołami niepublicznymi.

Korepetycje i zajęcia dodatkowe

Rodzicom zależy na wykształceniu dzieci, dlatego – jak podaje raport – jak burza rozwinęły się w ostatnim dwudziestoleciu zajęcia pozalekcyjne. Zainteresowanie nimi od 2009 roku wzrosło ponad dwukrotnie z 32 do 74%. Dziś opłaca je 7 na 10 rodziców. Najbardziej dynamiczny rozwój zanotowano w latach 2009–2014, ale utrzymywał się on i po 2015 roku, co można tłumaczyć wprowadzeniem rządowych programów socjalnych. Mimo pomocy państwa zajęcia pozalekcyjne (języki obce, matematyka, zajęcia sportowe) pozostają poza zasięgiem ubogich rodzin spoza dużych aglomeracji, których nie stać na comiesięczny wydatek z budżetu domowego w kwocie średnio ponad 600 zł.

W ROKU SZKOLNYM 2024/2025 KSZTAŁCIŁO SIĘ 6,6 MLN DZIECI, MŁODZIEŻY I DOROSŁYCH. 600 TYSIĘCY UCZNIÓW Z POWODÓW FINANSOWYCH NIE MIAŁO MOŻLIWOŚCI ROZWIJANIA SWOICH PASJI.

Szanse edukacyjne a zarobki

Zamożność Polaków to kolejny z aspektów opisywanych przez raport Fundacji Świętego Mikołaja, która ma znaczący wpływ na szanse edukacyjne uczniów. Wystarczy spojrzeć na mapę, aby zobaczyć, jak bardzo odstają duże ośrodki miejskie od biedniejszych obszarów – głównie wschodnich – naszego kraju. Ma to swoje przełożenie na wyniki egzaminów, które pokazują, że dzieci z miast i okolicznych powiatów poradziły sobie z nimi znacznie lepiej od dzieci z terenów wiejskich.

Dzięki informacjom z GUS i wynikom badania przeprowadzonego przez agencję IMAS Group na zlecenie Fundacji w marcu 2025 roku oszacowano, że aż 1,65 miliona dzieci w wieku szkolnym w Polsce nie chodzi na płatne zajęcia pozalekcyjne i aż 600 tysięcy z nich tłumaczy to brakiem możliwości finansowych! Wśród nich aż 12 tysięcy jest szczególnie uzdolnionych.

Wykluczenie edukacyjne jest faktem, ale to tylko jeden z aspektów uniemożliwiających uczestniczenie w ważnych dziedzinach życia zbiorowego (społecznego, gospodarczego czy politycznego, wynikający z niskiego poziomu wykształcenia).

Fundacja Świętego Mikołaja opracowała raport, aby jeszcze skuteczniej pomagać najbardziej zdolnym, ale wykluczonym uczniom w ramach realizowanego od 15 lat programu stypendialnego. Można powiedzieć, że to oferta wychowawcza, bo z jednej strony odnalezieni w małych wioskach uczniowie zaczynają wierzyć w siebie, rozwijają swoje talenty, ale biorą też odpowiedzialność za swoje otoczenie. Mają poczucie sprawczości i aktywizują swoje społeczności. To nie żadna teoria, ale konkretne działania. A dobro zawsze wraca.

GDYBY ZEBRAĆ WSZYSTKIE UZDOLNIONE POLSKIE DZIECI, KTÓRE NIE MOGĄ ROZWIJAĆ SWOICH TALENTÓW WYŁĄCZNIE Z POWODU BRAKU ŚRODKÓW FINANSOWYCH, WYPEŁNIŁYBY CAŁY STADION NARODOWY W WARSZAWIE.

eprasa.pl 54376c0a4f

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Putin chce wojny, Trump chce się oszukiwać

Jan Wróbel

Tak, to prawda, chciałbym bardzo dużej redukcji tzw. treści nauczania w przedmiocie szkolnym o nazwie „historia". I to nawet nie w ramach, powiedzmy, formatu zdrady Polski albo formatu ogłupiania młodego pokolenia. Motywacja moja jest znacznie bardziej trywialna – myślę, że po prostu byłoby lepiej nauczyć mało, a dobrze, niż dużo, ale po łebkach. Jest jednak kilka non possumus, kilka zagadnień, które solidnie omówione kosztem wielu porzuconych muszą się w programie znaleźć „zawsze".

To przypadek konferencji w Monachium z 1938 roku. A szerzej – wycofania się Anglii i Francji z kolizyjnego kursu wobec świeżo powołanej przez Hitlera Trzeciej Rzeszy. „Wódz" zażądał dużej części Czechosłowacji, Czesi (mający u nas opinię spolegliwych, nie wiadomo czemu), chcieli się bić. Jednak gwaranci nienaruszalności postanowień traktatów pokojowych z 1919 roku bali się wojny. Ostatecznie zatem oferowali Niemcom żądane terytorium czeskie, ale ich podłą małostkowość poprzedziły długie dni projekcji i urojeń na temat Hitlera. Po osobistej (co podkreślano, jakby była to szczególna, niemal wymuszająca szczerość forma komunikacji) rozmowie z Führerem premier Anglii był dobrej myśli. Nawet napisał do siostry: „Miałem wrażenie, że jest to człowiek, na którego można liczyć, jeśliby dał swoje słowo".

Konferencja liderów czterech europejskich państw – bez Czechów – uchodzi za modelowy przykład słabości polityki opartej na złudzeniach wobec dyktatorów. Hitler groził wojną, a chociaż w 1938 roku raczej miał w niej niewielkie szanse na wygraną, to wizja ginących na froncie tysięcy Francuzów i Brytyjczyków sparaliżowała dyplomatów zachodnich. Zaczęli zatem tworzyć obraz Führera jako polityka w gruncie rzeczy racjonalnego, posługującego się ostrą retoryką, ale, na Boga!, rozumiejącego, jak wiele uzyskać można przez pokój, a jak wiele zaryzykować przez wojnę.

> ZACZĘLI TWORZYĆ OBRAZ FÜHRERA JAKO POLITYKA POSŁUGUJĄCEGO SIĘ OSTRĄ RETORYKĄ, ALE W GRUNCIE RZECZY RACJONALNEGO.

Jak się to skończyło, to pamiętamy. Hitler nie okazał się tak racjonalny, jak to sobie wyobrażali obrońcy pokoju. I nie okazał się człowiekiem honoru. Pół roku po Monachium połamał własne zobowiązania, a niedługo potem napadł na Polskę.

W wojnie tej chodziło o coś więcej niż interesy i surowce. Jak wspaniale wyraził to Jürgen Stroop, niemiecki zbrodniarz wojenny – chodziło o wspaniałe życie: „Panie, jak tam cudnie na tej Ukrainie... Wyobraź pan sobie, jak by to wyglądało po skończonej, zwycięskiej dla nas wojnie: piękny wieczór pogodnego lata, światła w moim pałacu, gdzie meine Gemahlin dyrygowałaby wytresowaną po europejsku służbą. Porcelana, srebra, kryształy, świece. Sehr elegant!".

Niby we wszystkich porządnych szkołach uczy się o Monachium i bodaj wszyscy dyplomaci znają sprawę. A jednak spełniający własne marzenia dyktator wodzi dzisiaj za nos wodza za nos wielkich tego świata, a zwłaszcza tak w Polsce kochanego Donalda Trumpa. Może, kiedy w szkole przerabiano monachijską zdradę, akurat Donald był na wagarach.

eprasa.pl 54376c0a4f

Fot. Attila Husejnow / Zuma Press / Forum

W imię interesów... NIEMECKICH

Miał być polski nacjonalizm gospodarczy i jest. Co prawda tylko w deklaracjach, ale dla rządu to przecież **najważniejsze**. Nawet jeśli fakty świadczą o tym, że wiele państwowych inwestycji blokuje dostęp polskim firmom.

Mariusz Staniszewski

Po przegranych wyborach prezydenckich premier Donald Tusk zapowiedział nowe otwarcie, a jego elementem miało być preferowanie polskich firm na naszym rynku. Szef rządu nie mówił nawet o gospodarczym patriotyzmie, ale nacjonalizmie. Tak, by nie było wątpliwości, że właśnie przeżył kolejną

eprasa.pl 54376c0a4f

przemianę. Już nie miał być liberałem, socjaldemokratą czy innym globalistą, ale protekcjonistą.

Wielu niedowiarków sądziło, że to tylko chwilowa fanaberia i wkrótce wszystko wróci do normy, ale Tusk powtórzył te słowa na niedawnej konferencji „Local First". Mówił tak: – Polscy przedsiębiorcy mogą na mnie liczyć. Nikt już więcej nie będzie wykorzystywał pieniędzy publicznych. Nikt nie będzie ogrywał czy omijał krajowych wykonawców. To się definitywnie kończy. Zaczyna się biało-czerwony rozdział dla polskich firm.

Nie wiadomo, ilu przedsiębiorców w to uwierzyło. Z pewnością jednak powinni trzymać się za kieszeń. Zwłaszcza że szef rządu chyba nie do końca rozumie, co mówi.

CPK, czyli ściema

Jednym z dowodów na repolonizację gospodarki miało być wyeliminowanie zagranicznego funduszu z budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Teraz wszystkie udziały mają być w rękach państwowych spółek, a więc nikt złamanego grosza nam nie wytransferuje.

W rzeczywistości, usuwając zagranicznego inwestora, rząd pozbył się merytorycznego wsparcia oraz kontroli nad inwestycją. Podmiot zaangażowany w innych, działających już podobnych przedsięwzięciach, mógłby na przykład zakwestionować sens budowy kolei dużych prędkości, które mają dowozić pasażerów do CPK. Jeśli pociąg będzie pędził z prędkością 340 kilometrów na godzinę, nie zabierze mieszkańców mniejszych miejscowości, gdyż po prostu się tam nie zatrzyma. Nie chodzi tu o miasta wielkości Oławy czy Grójca, ale na przykład o drugą pod względem wielkości aglomerację Wielkopolski, czyli Kalisz.

W nowym projekcie szybkie pociągi będą to miasto omijać, a kaliszanie, by polecieć z Baranowa w świat, będą musieli się najpierw dostać do Poznania. To oczywisty bezsens, ale przecież nie przypadek.

Polskie firmy nie produkują pociągów dużych prędkości. Co zresztą jest zrozumiałe, bo na krajowym rynku nie ma takich potrzeb. Odległości między największymi miastami są na tyle małe, że składy osiągające prędkość 340 i 240 kilometrów na godzinę drogę Warszawa – Wrocław czy Warszawa – Poznań pokonują niemal w tym samym czasie. Szybszy skład, co prawda, rozpędzi się bardziej, ale z maksymalną szybkością będzie jechał zaledwie kilka, no może kilkanaście minut. Potem będzie musiał zacząć zwalniać. Wolniejszy będzie jechał dłużej z maksymalną prędkością. Na dodatek pierwszy zużyje dwa razy więcej energii niż drugi. Koszt zagranicznego składu będzie cztery, pięć razy wyższy niż polskiego.

Na tym jednak nie koniec rachunku ekonomicznego. Dla szybszego trzeba zbudować zupełnie inne tory, o większych łukach, by skład nie wyleciał w pole na zakręcie. To dodatkowe dwa miliardy więcej. Nie licząc oczywiście konieczności wykupu większej ilości ziemi pod budowę torów.

Skoro ten szybki pociąg nie jest nam potrzebny, a na dodatek jest droższy w eksploatacji i w zakupie, to dlaczego rząd tak bardzo się na to rozwiązanie uparł? Odpowiedź jest banalnie prosta. Takie składy produkuje znany niemiecki koncern. Inna firma z tego kraju wytwarza tory pod takie pociągi – Polacy takich technologii nie posiadają.

Nie wiadomo więc, jak rodzime firmy mają skorzystać na tej inwestycji. W każdym razie premier tego nie zdradził.

Cuda w energetyce

Kolejnym sektorem, który ma przynieść prawdziwy boom polskim przedsiębiorcom, którzy – przypomnijmy – „mogą na premiera liczyć", jest energetyka. Na wspomnianej konferencji szef rządu złożył zdecydowaną deklarację: – My w ciągu 10 lat będziemy wydawali biliony złotych na polską energetykę. To są pieniądze polskiego podatnika i wszędzie tam, gdzie to jest możliwe, powinny zostać w Polsce i w polskich firmach.

Tu jednak pojawia się zasadnicza trudność, bo obecny rząd stawia na zieloną energię z farm wiatrowych. Nie dość, że jest to najdroższe źródło energii – jej wytworzenie kosztuje niemal o 25% więcej niż z węgla brunatnego i około 15% więcej niż z kamiennego – to turbiny niemal w całości produkowane są za granicą. Głównie w Niemczech, zresztą przez ten sam koncern, który buduje koleje dużych prędkości.

Z ogólnych wydatków na budowę choćby farm na Bałtyku zaledwie kilkanaście procent pieniędzy trafia do polskich firm. Reszta odpływa za granicę.

Podobnie sytuacja wygląda w przypadku stawiania elektrowni atomowych. Choć są rzecz jasna niezbędne do tego, by Polska nadal mogła się rozwijać, to rodzimi

POGŁĘBIENIE I MODERNIZACJA SZLAKU WODNEGO STWORZYŁYBY ZNACZĄCĄ KONKURENCJĘ, DLA NIEMIECKIEJ ŻEGLUGI ŚRÓDLĄDOWEJ.

eprasa.pl 54376c0a4f

podwykonawcy będą mogli zarobić jedynie przy pracach budowlanych, które stanowią około jednej czwartej wszystkich kosztów. Co istotne, żadna polska firma nigdy nie była głównym wykonawcą siłowni jądrowej, więc trudno spodziewać się, by i w przypadku inwestycji w naszym kraju, mogła przyjąć taką rolę.

Polskie firmy z wielu branż zyskałyby, gdyby rząd Donalda Tuska nie bał się rozwijać energetyki węglowej i walczył o tę branżę na forum UE. Jednak dla tej ekipy górnictwo i elektrownie węglowe są przeżytkiem i wrogiem numer jeden. Silna polska branża skazana jest więc przez tę ekipę na umieranie.

Transport rzeczny

Projektem, wokół którego obecna władza robi ostatnio sporo zamieszania, jest utworzenie nowego Parku Narodowego Dolnej Odry. Wiąże się to de facto z uniemożliwieniem rozwoju szlaku wodnego na tej rzece od Szczecina na Południe.

Choć rozwój transportu rzecznego Odrą oznaczałby rozwój portów w Szczecinie i Świnoujściu oraz miast leżących wzdłuż szlaku, rząd uparł się, by do tego nie dopuścić. Kwestię tę niedawno podnieśli nawet Czesi. Tamtejszy minister transportu Václav Bernard w kwietniu tego roku zapowiedział, że rząd w Pradze jest gotowy współpracować z polskim w sprawie rozwoju żeglugi na Odrze. Dla Czechów to oczywiste, gdyż dzięki temu zyskają szybki i sprawny dostęp do dużych i coraz nowocześniejszych polskich portów.

Istnieje jednak jedna zasadnicza przeszkoda. Pogłębienie i modernizacja szlaku wodnego stworzyłyby znaczącą konkurencję, dla niemieckiej żeglugi śródlądowej, z której korzystają dziś Czechy. Na stworzenie alternatywy dla Niemców polskie władze nie są gotowe ani mentalnie, ani politycznie.

Dlatego wolą zablokować rozwój naszych portów, by tylko nie narazić się Berlinowi.

Modernizacja armii

Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że premier nie rozumie rzeczywistości. Mówił tak: – Żyjemy wśród egoistów, więc nie możemy być naiwni. To świat konkurencji bezwzględnej. [...] Wiele miesięcy temu podjęliśmy starania dotyczące repolonizacji gospodarki. Szczególnego sensu nabierają dzisiaj takie słowa jak patriotyzm czy local content, a więc udział krajowych przedsiębiorstw w zamówieniach publicznych.

Pewnie właśnie z tego powodu rządzona przez Rafała Trzaskowskiego stolica drzewa sprowadzała z Niemiec po blisko dwadzieścia tysięcy złotych za sztukę. Rządzony przez PO Poznań kupił natomiast w Niemczech używane, trzydziestoletnie tramwaje, choć w Polsce mamy bardzo dobrego producenta.

Wydaje się, że słowa całkowicie rozmijają się z rzeczywistością ponieważ obecna ekipa zaciągnęła jakieś zobowiązania za granicą i teraz musi je spłacić.

Dlatego rząd zrezygnował z zakupu produkowanych w Polsce – oczywiście przez amerykański koncern – śmigłowców Black Hawk, a warunki nowego przetargu mają – według wojskowych – wskazywać na chęć zakupu francuskich Caracali.

Z kolei po kryzysie wywołanym przez wtargnięcie do polskiej przestrzeni powietrznej rosyjskich dronów natychmiast pojawiła się niemiecka oferta systemu antydronowego. Natychmiastowy wybór tego podmiotu byłby jednak zbyt kompromitujący – szczególnie że polska branża dronowa należy do najnowocześniejszych na świecie – temat na razie trafił do zamrażarki. Nie zmienia to jednak faktu, że warunki do nowego przetargu na system ochrony przed dronami zostały tak ustalone, że nie spełni ich żaden podmiot z Polski. Jedynym dostawcą, który zdoła sprostać wymaganiom, będzie firma z Izraela.

NIE LICZYŁA SIĘ PRAWDA, POLSKA RACJA STANU CZY PO PROSTU INTERES. LOJALNOŚĆ ULOKOWAŁA SIĘ ZA ODRĄ.

Dlaczego Niemcy?

Sprzyjanie niemieckim firmom w Polsce tylko pozornie może być zaskakujące. Już w maju tego roku think tank Instytut Bezpieczeństwa Narodowego opublikował raport o powiązaniach obecnego rządu z instytucjami w Niemczech. Czytamy tam m.in.: „Znacząca część członków polskiego rządu była w przeszłości zaangażowana w działania German Marshall Fund, dotowanej m.in. z niemieckiego budżetu. [...] Podmiot ten, choć współfinansowany także przez rząd USA, od lat realizuje w dużej mierze niemieckie interesy”.

Te powiązania jaskrawo widać było na przykład w komentarzach po wizycie prezydenta Karola Nawrockiego w Berlinie. Wielu komentatorów, z ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim na czele, wyrażało zadowolenie, że strona niemiecka nie podjęła rozmów w sprawie reparacji. Zdawało się, że przez cały czas mocno ściskali kciuki za Niemców.

Nie liczyła się prawda, polska racja stanu czy po prostu interes. Lojalność ulokowała się za Odrą.

eprasa.pl 54376c0a4f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Moralmacht

Zdaję sobie sprawę z faktu, że tematem przewodnim poprzedniego numeru „TS" była kwestia należnych Polsce reparacji od Niemiec. Mam jednak nadzieję, że wybaczą mi Państwo moje „trzy grosze" w tym temacie. Wydaje mi się zresztą, że im większy nacisk w tej sprawie, tym lepiej, więc czuję się przynajmniej częściowo usprawiedliwiony.

Niemcy lubią pouczać. O praworządności, o solidarności, o konieczności przestrzegania traktatów. Lubią występować w roli moralnego arbitra, który uważa, że ma prawo rozliczać innych. Nic dziwnego, że są oni często – nieco ironicznie – nazywani mocarstwem moralnym. Jednak kiedy tylko rozmowa schodzi na temat reparacji wojennych dla Polski – nagle milkną i uciekają od tematu, twierdząc, że „jest zamknięty". To oczywiście klasyczny przypadek hipokryzji i obłudy, na której nasi zachodni sąsiedzi próbują budować nasze wzajemne relacje. Tyle że nigdy nie dojdzie do polsko-niemieckiego pojednania na tak fałszywych podstawach. Po prostu.

Polska została zrujnowana jak żaden inny kraj Europy. Miliony ofiar, zniszczona stolica, grabież dóbr kultury, gospodarka cofnięta o dekady. Otwarte pozostaje pytanie, na jakim poziomie stałaby dzisiejsza Polska, gdyby nie masowa eksterminacja ludności i dokonane zniszczenia wojenne. Raport o stratach wojennych z 2022 roku szacuje nasze szkody wojenne na 6 bln 220 mld 609 mln zł. A jednak Niemcy wciąż udają, że sprawa jest załatwiona i powołują się na wymuszony na narodzie polskim dokument rządu Bieruta z 1953 r. Jednak naród, który rozpętał najkrwawszą wojnę w historii, ma obowiązek zadośćuczynić ofiarom. To po prostu jego obowiązek.

Niemiecka hipokryzja bije po oczach tym bardziej, że jednocześnie potrafili oni przez dekady zadośćuczynić innym narodom. Berlin doskonale zdaje sobie jednak sprawę, że Polskę może lekceważyć. Nie po to przez tyle lat tutaj zainwestował – w polityków, media, naukowców czy NGO-sy. I w momentach newralgicznych dla Niemiec to widać.

To, co jest godne pozazdroszczenia u Niemców, to fakt, że ich cała machina państwowa mówi w tej sprawie jednym głosem. Niezależnie od tego, kto sprawuje władzę, dla niemieckiej klasy politycznej jest jasne, że „temat reparacji jest zamknięty". Nie znajdzie się praktycznie żadnych wpływowych polityków, dziennikarzy czy historyków, którzy mówiliby inaczej. Zupełnie odwrotnie niż u nas.

Prezydent Karol Nawrocki podczas swojej wizyty w Berlinie poruszył temat reparacji, wskazując, że dla niego, podobnie jak dla Polaków, to sprawa otwarta, którą trzeba uregulować. I nawet jeśli nie należy się spodziewać przełomu w najbliższym czasie, to należy pamiętać, iż kropla drąży skałę. Dlatego na każdym możliwym spotkaniu należy ten temat podnosić. Po to, by Niemcy czuli presję. Jako gest dobrej woli możemy Berlinowi za to dodatkowo zaproponować, by zabrał stąd swoją agenturę. Wszyscy na tym skorzystamy.

eprasa.pl 54376c0a4f

Przyszłoroczne wynagrodzenie minimalne – policzek dla pracowników

– W czasie, gdy koszty życia rosną z miesiąca na miesiąc, rząd **udaje**, że prowadzi rozmowy z partnerami społecznymi, a w rzeczywistości narzuca poniżającą „podwyżkę". Dobrze znamy takie działania. To powrót do antypracowniczej polityki, którą Donald Tusk prowadził już w latach 2007–2015 – mówi Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", na temat decyzji rządu ws. wysokości przyszłorocznego minimalnego wynagrodzenia i stawki godzinowej.

Barbara Michałowska

Fot. M. Żegliński

Opublikowane w ubiegłym tygodniu w Dzienniku Ustaw Rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie wysokości minimalnego wynagrodzenia za pracę oraz wysokości minimalnej stawki godzinowej w 2026 r. przewiduje, że od 1 stycznia 2026 r. minimalne wynagrodzenie za pracę będzie wynosić 4806 zł brutto, a minimalna stawka godzinowa – 31,40 zł brutto.

90 groszy więcej

Jest to wzrost zaledwie o 140 zł w przypadku minimalnego wynagrodzenia, natomiast stawka godzinowa wzrośnie jedynie o 90 groszy. Obecnie płaca minimalna wynosi 4666 zł brutto, a minimalna stawka godzinowa – 30,50 zł.

Propozycja NSZZ „Solidarność" i pozostałych dwóch reprezentatywnych central związkowych co do przyszłorocznego minimalnego wynagrodzenia za pracę wynosiła nie mniej niż 5015 zł brutto.

Powrót do antypracowniczej polityki

Piotr Duda ocenił, że decyzja rządu to „policzek wymierzony milionom pracowników w Polsce".

– Rząd nie zechciał nawet podjąć rozmów na ten temat w ramach Rady Dialogu Społecznego. Premier Donald Tusk, wielokrotnie zapraszany do udziału w posiedzeniach RDS, ani razu nie skorzystał z tego zaproszenia od początku swojej kadencji – zaznaczył.

– Tak obecnie wygląda dialog społeczny w Polsce – skwitował przewodniczący. – W czasie, gdy koszty życia rosną z miesiąca na miesiąc, rząd udaje, że prowadzi rozmowy z partnerami społecznymi, a w rzeczywistości narzuca poniża-

eprasa.pl 54376c0a4f

jącą „podwyżkę”. Dobrze znamy takie działania. To powrót do antypracowniczej polityki, którą Donald Tusk prowadził już w latach 2007–2015. Wtedy pracownik był traktowany wyłącznie jako zbędny koszt.

Świadome spychanie ludzi w biedę

– Dziś historia się powtarza. Zwiększenie płacy minimalnej jedynie o 140 zł oraz stawki godzinowej o 90 groszy to wstyd. Nie dla tych, którzy ją otrzymają, ale dla rządu. Związki zawodowe zaproponowały minimalne wynagrodzenie na poziomie co najmniej 5015 zł brutto. Nie były to wygórowane żądania, lecz absolutne minimum, aby pensje mogły nadążyć za inflacją i dramatycznym wzrostem kosztów życia. Rząd jednak całkowicie zignorował tę propozycję – przypomniał Piotr Duda. I dodał: – Takie działania to świadome spychanie ludzi w biedę i dowód na to, że dialog społeczny w Polsce stał się farsą. Zamiast prawdziwej debaty mamy teatr pozorów, w którym decyzje zapadają ponad głowami obywateli. Pracownicy jednak nigdy nie zapominają takich kroków, a Solidarność w walce o godne płace nie cofnie się ani o krok.

eprasa.pl 54376c0a4f

Pomagać trzeba bez skrajności

– Pytano mnie o prezydenta Karola Nawrockiego i jego podejście do Ukrainy. Rozmowy dotyczyły także trudnych tematów – Wołynia czy zawetowanej ustawy 800+. Zawsze podkreślam: geopolityka jest brutalna, ale rozmowa z człowiekiem, spokojne wysłuchanie drugiej strony potrafią zmienić nastawienie. W chaosie dezinformacyjnym łatwo uwierzyć, że „Polacy są antyukraińscy". Ale kiedy spotykamy się twarzą w twarz, okazuje się, że można się porozumieć. A co najważniejsze, że wróg jest jeden: Rosja – mówi wolontariusz **Adam Zawadzki** w rozmowie z **Krzysztofem Karnkowskim**.

Fot. archiwum Adama Zawadzkiego

eprasa.pl 54376c0a4f

– Nasza rozmowa będzie trudna, bo i temat jest trudny. W Polsce zmienia się nastawienie wobec Ukrainy – i to nie bez powodu. Ale zanim przejdziemy do tych spraw, powiedz, proszę, o swojej ostatniej wyprawie: jaki był jej cel, jakie masz wrażenia?

– To, co robimy, nie ma nic wspólnego z romantyzmem. To ciężka, wyczerpująca praca. Tym razem od domu dzieliło mnie ponad 21 godzin jazdy. Odległości są ogromne, podróż jest męcząca, ale pozwala odkrywać coś nowego i poznawać Ukrainę z innej strony. Po raz pierwszy pojechaliśmy z dużą fundacją ze Lwowa – Auto Angel Lwów. To organizacja, która regularnie dostarcza pojazdy na front: od ciężarówek po słynne pickapy. Miałem okazję uczestniczyć w naprawdę dużym konwoju – 20 samochodów, część na lawetach. To robi ogromne wrażenie. Fundacja działa regularnie: jeśli samochód zostanie zniszczony, przywożą go, naprawiają i wysyłają z powrotem. Widziałem auto, które było już naprawiane 13 razy – szczęśliwe auto, bo nikomu w nim nic się nie stało. Spotkaliśmy się przy tym z bardzo pozytywnym podejściem do Polaków. Nawet tam, gdzie stereotypowo spodziewalibyśmy się chłodu – rozmowy i otwartość zostają w pamięci. Dotarliśmy bezpośrednio do Zaporoża i Dniepru, do żołnierzy stacjonujących i odpoczywających przed kolejną rotacją. Dostarczyliśmy m.in. ponad 500 apteczek, około 3000 plecaków, 200 kg żywności, a także laptopy dla operatorów dronów. To była nasza cegiełka do dużego konwoju humanitarnego.

– A jak to wygląda od strony ukraińskiej? Czy Polacy są tam wciąż odbierani tak samo, czy coraz gorzej?

– Za każdym razem, gdy jestem na miejscu, rozmawiam z ludźmi i tłumaczę im różne rzeczy. Media – polskie i ukraińskie – potrafią nakręcać emocje. Internet też: z jednej strony to błogosławieństwo, bo Ukraińcy świetnie go wykorzystują w czasie wojny, ale jednocześnie krąży mnóstwo fake newsów i dezinformacji. Na przykład sprawa koncertu białoruskiego opozycjonisty, podczas którego pojawiła się kontrowersyjna flaga. W przekazie medialnym wyglądało to tak, jakby Polacy byli bardzo antyukraińscy i atakowali ich symbole. Musiałem to tłumaczyć, prostować. Pytano mnie też o prezydenta Karola Nawrockiego i jego podejście do Ukrainy. Rozmowy dotyczyły także trudnych tematów – Wołynia czy zawetowanej ustawy 800+. Zawsze podkreślam: geopolityka jest brutalna, ale rozmowa z człowiekiem, spokojne wysłuchanie drugiej strony potrafią zmienić nastawienie. W chaosie dezinformacyjnym łatwo uwierzyć, że „Polacy są antyukraińscy". Ale kiedy spotykamy się twarzą w twarz, okazuje się, że można się porozumieć. A co najważniejsze, że wróg jest jeden: Rosja.

– Wspomniany koncert Maxa Korża był dla wielu warszawiaków szokiem poznawczym. Bo choć na ulicach słychać język ukraiński, to pierwszy raz zobaczyli całą społeczność w takiej masie. Psychologicznie to naturalne, że ktoś poczuł się wtedy „mniej u siebie". Flagi banderowskie wśród widzów stały się detonatorem emocji.

– Sam fakt zapełnienia całego stadionu robi wrażenie. Ale pamiętajmy – tam byli nie tylko Ukraińcy, ale też Rosjanie, Białorusini, młodzi ludzie z całej Europy. A główną gwiazdą był wykonawca rosyjskojęzyczny – tzw. reglamentowany opozycjonista. Jeśli ktoś śpiewa po rosyjsku – może śpiewać pięknie o Białorusi czy Ukrainie – ale i tak budzi to sprzeciw.

Dla Ukraińców rosyjski to język okupanta. My sami jesteśmy z pokolenia, które musiało się uczyć rosyjskiego w szkołach. To zostawia ślad. I teraz pytanie: kto w ogóle pozwolił, by w Polsce, w dniu ważnym dla Białorusinów, odbywał się taki koncert? Gdzie były służby? Ryzyko prowokacji było oczywiste.

U MŁODYCH WSZYSTKO MA BYĆ „TU I TERAZ" – SZYBKO, WYGODNIE, BEZ CZEKANIA. MAJĄ TEŻ PODEJŚCIE: „WIEM WSZYSTKO, ZNAM SIĘ NA WSZYSTKIM". ALE TRZEBA PRZYZNAĆ – TO WŁAŚNIE MŁODZI ŚWIETNIE ODNAJDUJĄ SIĘ JAKO OPERATORZY DRONÓW.

– Mam przed sobą badania nastrojów społecznych opublikowane przez Centrum Mieroszewskiego – dotyczą stosunku Polaków do Ukraińców. To świeże dane i szczerze mówiąc, spory potencjał został zmarnowany. Nie chcę rozstrzygać przez kogo. Nie zgadzam się z narracją, że „prawica zmarnowała temat Ukrainy". Uważam, że prawica zajęła się pracą, a Ukraińcy wybrali tych, którzy zajmują się gadaniem. To inna kwestia. Ale spójrzmy na wyniki: 25% Polaków

eprasa.pl 54376c0a4f

ocenia Ukraińców pozytywnie, 30% – negatywnie, 41% – neutralnie. Część podkreśla pozytywne doświadczenia, inni problemy z integracją. 51% uważa, że skala pomocy Ukrainie jest zbyt duża. Tylko 5% – że za mała. Jeśli chodzi o członkostwo Ukrainy w UE – popiera je 42% badanych, przy czym większość uzależnia to od spełnienia kryteriów. Jak Ty patrzysz na te wyniki? Pewnie mają przełożenie także na Twoją działalność.

– Przede wszystkim – jeśli chodzi o pomoc humanitarną – nie zgadzam się z podejściem: „pomogliśmy, więc należy nam się wdzięczność". Pomoc to pomoc. Dajesz, bo chcesz, a nie dlatego, że ktoś będzie Ci dziękował czy dawał profity. Często słyszę też argument: „polskie firmy pomagają, więc przy odbudowie Ukrainy należy im się specjalne traktowanie". Nie. Pomoc powinna wynikać z naszej natury, z potrzeby serca czy – jak kto woli – z chrześcijańskiej zasady pomocy bliźniemu. Pytasz o prawicę – czy zmarnowała potencjał? Trochę tak. Jest mało organizacji pozarządowych z prawej strony, które angażują się w Ukrainę. Pole działania przejęły fundacje i wolontariusze z lewej strony, którzy mówią o prawach człowieka, dokumentują różne rzeczy. Oni zaczynają dominować w narracji o Ukrainie. Ukraińcy postrzegają Unię Europejską bardzo praktycznie. Wielu z nich pracowało za granicą, żeby utrzymać rodziny – tak jak Polacy w latach 80. czy za pierwszych rządów Donalda Tuska. Rozmawiałem z jednym przedsiębiorcą, który dziś ma dużą firmę budowlaną. Wspominał getta w Londynie, mówił o imigrantach z Afryki, którzy żyli z socjalu, i był temu przeciwny. Tak samo postrzega miejsce Ukrainy w Europie: nie wszystko ma być za darmo, trzeba na to zapracować. Dla wielu Ukraińców Unia to przede wszystkim wolność podróżowania i zarobek. Mają ogromny gen ekonomiczny, biznesowy. W ich oczach UE to też sojusz z Ameryką. Ale staram się im tłumaczyć: polityka Trumpa, polityka Unii, zmiany w Polsce – to wszystko sprawia, że jesteśmy trochę pionkami w wielkiej grze. Na przykład sprawa zboża: tłumaczę im, że problem nie był tylko z ich zbożem. Do Polski trafiało też zboże z Brazylii, które miało płynąć dalej, a zostało na naszym rynku. Polscy rolnicy poczuli się oszukani – stąd nastroje antyukraińskie. Do tego dochodzi kwestia integracji. Z jednej strony – wielu Ukraińców ciężko pracuje, nawet ci wykształceni wykonują proste prace, żeby utrzymać się w Polsce. Z drugiej – w dużych miastach widzimy auta na ukraińskich tablicach, często luksusowe. To budzi emocje. Łatwiej było wyjechać oligarsze niż chłopu ze wschodu, który stracił wszystko. Po trzech latach wojny przyzwyczailiśmy się, że ona trwa, a w mediach coraz mniej się o niej mówi. Tymczasem na miejscu to realne: naloty dronowe, obrona terytorialna strącająca drony pickapami. Nie mamy tylu weteranów, tylu okaleczonych ludzi. Na Ukrainie to codzienność.

> POMOC POWINNA WYNIKAĆ Z NASZEJ NATURY, Z POTRZEBY SERCA CZY – JAK KTO WOLI – Z CHRZEŚCIJAŃSKIEJ ZASADY POMOCY BLIŹNIEMU.

– Mówiłeś, że inaczej rozmawia się z młodszymi, a inaczej ze starszymi. Na czym polega ta różnica?

– Młode pokolenie jest bardziej roszczeniowe. Rozmawialiśmy z ludźmi z biznesu – opowiadali, że młodzi, pokolenie TikToka i Facebooka, przychodzą do pracy i od razu stawiają warunki: ile chcą zarabiać, że musi być smartfon, a nawet automat do kawy. Zresztą – kawa to osobna historia. Na Ukrainie co 50–60 metrów stoją budki i sklepy z kawą. Dla kogoś, kto kocha kawę, to raj. Ale to symbol: u młodych wszystko ma być „tu i teraz" – szybko, wygodnie, bez czekania. Mają też podejście: „wiem wszystko, znam się na wszystkim". Ale trzeba przyznać – to właśnie młodzi świetnie odnajdują się jako operatorzy dronów. Zaczynają od aplikacji na tabletach – 40 godzin treningu, jak gra komputerowa – i dopiero wtedy dostają prawdziwego drona. To naturalne, bo to pokolenie wychowane na goglach VR i grach. Z kolei starsze pokolenie ma inne priorytety. Rozmowa z kimś 40+ jest inna – bliżej nam do siebie, mamy podobne spojrzenie na życie i przyszłość. Łączy nas doświadczenie komunizmu i transformacji. Zawsze poruszają mnie dziewczęta na froncie. Widzisz młode kobiety w mundurach, z bronią. Oczywiście wspieramy przede wszystkim medyków – sanitariuszki, lekarki – ale część z nich walczy. Ukraińcy sami mówią: „nasze dziewczyny zamiast rodzić dzieci czy robić kariery, muszą walczyć, a część chłopaków ucieka przed wojskiem". To bolesne.

– No właśnie, u nas widzimy tylko fragment – tych, którzy przyjechali. Często młodych mężczyzn w dużych miastach, głośnych, imprezujących. Zderzenie z obrazem okaleczonych żołnierzy czy dziewcząt w mundurach budzi zrozumiały dysonans.

eprasa.pl 54376c0a4f

I to wpływa na relacje: w Polsce część ludzi reaguje krytycznie, a inni bezrefleksyjnie przemilczają problemy. Jedno i drugie szkodzi – bo skrajna krytyka rodzi niechęć do pomocy, a ślepa miłość prowokuje reakcję odwrotną. Jak działać w sytuacji, gdy nastroje się pogarszają – u nas i u nich? Badania pokazują, że coraz mniej Ukraińców dobrze ocenia Polaków. Może to naturalny mechanizm obronny: wdzięczność jest ciężarem, więc się ją wypiera.

– Dużą rolę odgrywają media. One kreują skrajności: bezrefleksyjna miłość albo totalna wrogość. I widać to było w kampanii wyborczej – temat Ukrainy przewijał się u Rafała Trzaskowskiego i prezydenta Karola Nawrockiego, co nie wyszło na dobre. Drugie źródło to kontakty codzienne. Spotykamy uchodźców, kobiety zakładające biznesy, które płacą podatki, zatrudniają Polaków, a i tak bywają zaczepiane: „Ty Ukrainko, masz tyle pieniędzy!". A przecież przyjechały tu z niczym i ciężko pracują. Są też kwestie historyczne. Ukraina przez lata była republiką sowiecką – o Wołyniu się nie mówiło, UPA było przemilczane. Dla wielu Bandera to dziś symbol walki z Rosją, a nie tylko zbrodniarz. Ich państwo jest młode, więc czerpie z trzech źródeł: Kozaków, Bandery i bohaterów Majdanu. Budowanie relacji wchodzi w nową fazę – po okresie „miłości w oczach" (czas prezydenta Andrzeja Dudy i PiS-u), mamy twardszą politykę: każdy kraj ma swoje interesy. I to jest zdrowe. Ale ja zawsze powtarzam: najważniejsze są relacje międzyludzkie. Jeśli ja jako wolontariusz przywożę pomoc i rozmawiam z żołnierzami czy cywilami, oni zapamiętają Polskę przez pryzmat spotkania ze mną. Gdyby nie wolontariusze – polscy, ukraińscy, zagraniczni – ukraińska armia nie dałaby rady. Od nas zależy, jak długo to potrwa. Musimy też pamiętać o prostych rzeczach – o grobach. My, Polacy, nie oczekujemy wielkich przeprosin za Wołyń. Chcemy, żeby rodziny ofiar miały gdzie zapalić znicz, żeby były mogiły i krzyże. To najważniejsze. Jeśli Ukraińcy sami nie nazwą zbrodni po imieniu, nasze naciski nic nie dadzą. Pomagać trzeba bez skrajności – ani nienawiść, ani ślepa miłość. Realizm i serce.

ŁATWIEJ BYŁO WYJECHAĆ OLIGARSZE NIŻ CHŁOPU ZE WSCHODU, KTÓRY STRACIŁ WSZYSTKO.

JEŚLI UKRAIŃCY SAMI NIE NAZWĄ ZBRODNI PO IMIENIU, NASZE NACISKI NIC NIE DADZĄ. POMAGAĆ TRZEBA BEZ SKRAJNOŚCI – ANI NIENAWIŚĆ, ANI ŚLEPA MIŁOŚĆ. REALIZM I SERCE.

– Adamie, na koniec opowiedz, proszę, czytelnikom „TS", czym zajmuje się Twoja fundacja i jak można Wam pomóc? Kiedy planujesz następną wyprawę?

– Zacznę praktycznie. Wozimy na Ukrainę stazy, czyli opaski uciskowe. Każdy żołnierz powinien mieć minimum cztery takie opaski na każdą kończynę. Koszt jednej to około 200 zł. Do tego apteczki indywidualne, plecaki medyczne dla ratowników, bandaże, środki opatrunkowe. To ratuje życie. Ale pomagamy też zwierzętom – współpracujemy ze schroniskami, dostarczamy karmę. W Żytomierzu w ciągu roku wysterylizowano ponad 100 tysięcy psów i kotów. Jeśli ktoś nie chce wspierać żołnierzy, a kocha zwierzęta – też może się do nas zwrócić. Pamiętamy o dzieciach – szczególnie tych, które straciły rodziców na wojnie. Dostarczamy kredki, flamastry, pomoce szkolne. Wspieramy też osoby niepełnosprawne, z zespołem Downa, na wózkach. Można nas znaleźć pod nazwą „Fundacja Dziękujemy za Wolność". Wystarczy napisać maila – odpowiemy, co w danym momencie jest najbardziej potrzebne. A jeśli chodzi o kolejną wyprawę – nie jeździmy już tak często jak na początku wojny, kiedy co miesiąc byliśmy na froncie. Ale myślę, że pod koniec września albo na początku października znów ruszymy. Każda pomoc jest na wagę złota.

Adam Zawadzki, społecznik, organizator, wolontariusz Fundacji Dziękujemy Za Wolność, od kilku lat jeżdżący regularnie z pomocą humanitarną na Ukrainę. Na początku września wrócił z kolejnej wyprawy.

eprasa.pl 54376c0a4f

Uratowani spod gilotyny

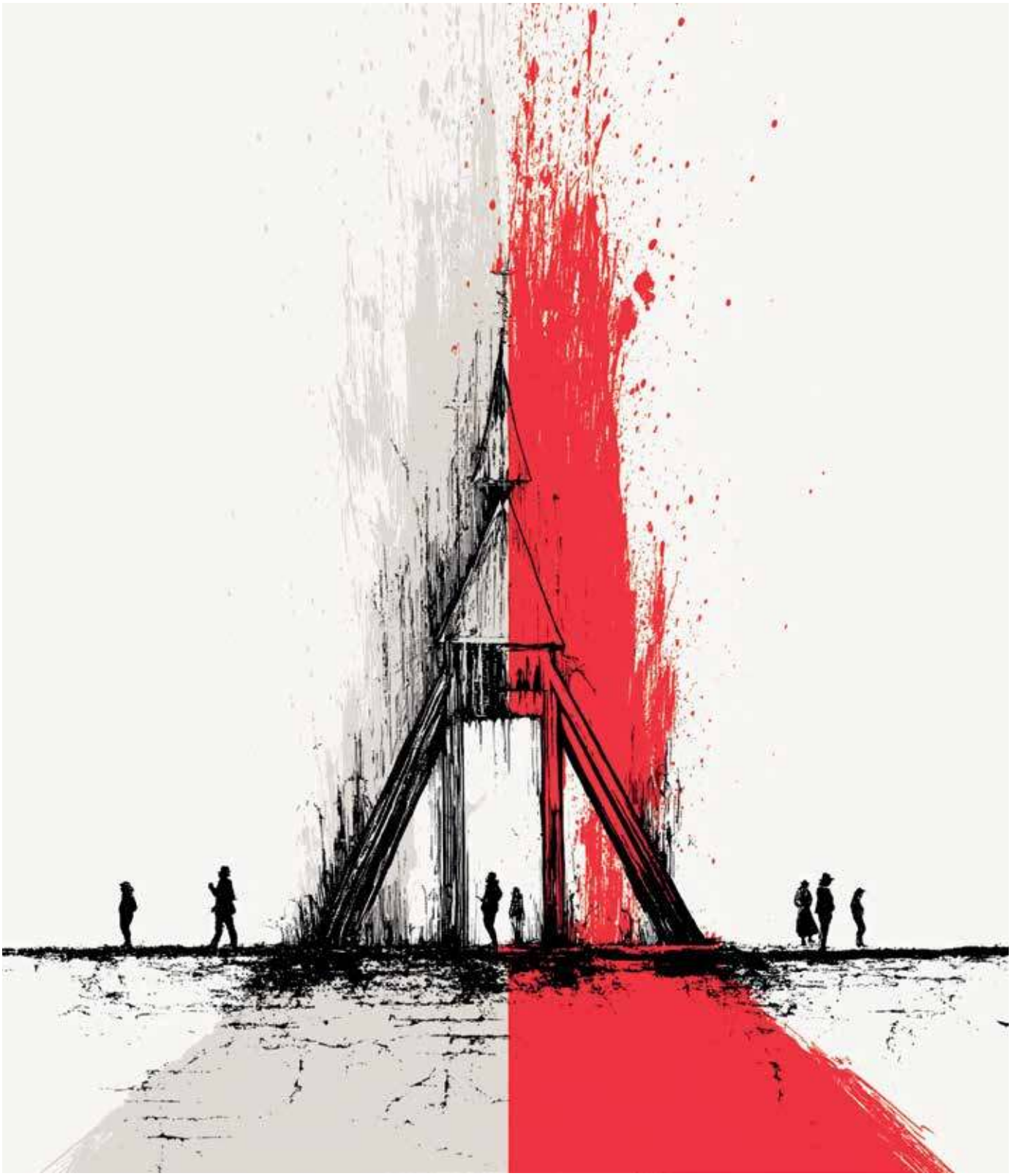

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 54376c0a4f

Relacje z USA w kryzysie, prezydent RP bez zdolności do rozmów z prezydentem naszego strategicznego sojusznika, polityka zagraniczna skupiona na centralistycznych reformach Unii Europejskiej, bez ambicji i szans na przebicie się w walce o własne interesy. A w polityce wewnętrznej – **dalsza brutalizacja życia politycznego**, działania wymierzone w rządowych konkurentów, a także aktywna promocja lewicowej agendy i zmian społecznych w Polsce. To scenariusz fatalnego rozwoju sytuacji, realny scenariusz, gdyby prezydentem Polski został Rafał Trzaskowski. Widać dziś wyraźnie, że w obliczu coraz poważniejszych zagrożeń i wyzwań Polska i Polacy uchronili się przed bardzo niebezpiecznym rozwojem sytuacji.

Stanisław Żaryn

Przez całą kampanię wyborczą koalicja rządowa wspierała – otwarcie i zakulisowo – Rafała Trzaskowskiego. Jednocześnie rząd przekonywał w swojej propagandzie, jak wiele zależy od jego wygranej. Przez miesiące widać było zawieszenie działań politycznych, właśnie w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Rząd przekonywał, że skoro prezydent Andrzej Duda i tak wszystko zawetuje, to trzeba czekać na nowego prezydenta. Wycofanie rządu miało także na celu mobilizowanie wyborców koalicji rządzącej, by szli głosować. Tym samym władze RP zadbały o przekaz, który świadczy, że wygrana Trzaskowskiego mogła być dla Polski szalenie niebezpieczna. Przy tak ofensywnym, politycznie agresywnym rządzie prezydentura Trzaskowskiego byłaby poważnym katalizatorem kolejnych działań wymierzonych w ustrój oraz przeciwników politycznych. Właściwie od samego początku funkcjonowania rządu Donalda Tuska to główna oś polityczna, ale i propagandowa, na której skupiają się rządzący. Przy „własnym" prezydencie premier miałby otwarte drzwi do prowadzenia dalszych ofensywnych działań. Także teraz władze kontynuują tę linię, o czym przekonać się można, obserwując choćby działania nowego ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka. Dziś jednak rząd wie, że nie może sobie na pozwolić na wszystko. Gdyby wybory poszły inaczej, rząd sprawę sporu wokół sądownictwa zapewne załatwiłby wraz z prezydentem Trzaskowskim po swojemu, czyli wykluczając dużą część sędziów z prawa wykonywania zawodu (z uwagi na ocenę polityczną ustaw przyjętych przez poprzedni parlament). Wiązałoby się to z demolowaniem ustroju, ale byłoby korzystne z punktu widzenia rządu – być może otworzyłoby to drogę do wprowadzania zmian w sądownictwie, które osłabiałyby mechanizmy polskiej demokracji i wykrzywiały ustrojowe bezpieczniki. Skutkiem tego było sprawniejsze ściganie politycznych przeciwników, na czym do dziś opiera się duża część działań rządu.

Wygrana Trzaskowskiego miałaby zapewne duży wpływ na lewicową agendę w Polsce. Już bez blokad widocznych w kampanii wyborczej Trzaskowski mógłby zacząć realizować zmiany dotyczące społeczeństwa na modłę liberalno-lewicowej rewolucji znanej z Europy Zachodniej. Właśnie takie działania podejmował Trzaskowski jako prezydent

SKUPIENIE WŁADZY PRZEZ JEDEN OBÓZ POLITYCZNY W 2025 ROKU BYŁOBY NIEZWYKLE NIEBEZPIECZNE NIE TYLKO Z UWAGI NA RADYKALNY, AGRESYWNY KURS, KTÓRY OBRAŁ PREMIER TUSK I JEGO ZAPLECZE POLITYCZNE.

eprasa.pl 54376c0a4f

Warszawy. Wtedy, gdy nie musiał nakładać gorsetu, by łowić wyborców i udawać w kampanii, Trzaskowski ukrywał swój lewicowy światopogląd tak gorliwie, że wychodziło to bardzo sztucznie. Jednak nie ma cienia wątpliwości – Trzaskowski jest jednym z najmocniej lewicowych polityków Koalicji Obywatelskiej. I zapewne takie byłoby również zaplecze polityczne jego prezydentury. Można więc zakładać, że agenda liberalna miałaby w Pałacu Prezydenckim dużego promotora. Szybko byśmy to wszyscy odczuli, choćby przy okazji decyzji dotyczących Paktu migracyjnego czy też Zielonego Ładu. Trzaskowski wraz z rządem zapewne przyjęliby te rozwiązania bez sprzeciwu. Podobnie jak w przypadku podejmowania działań wewnątrzkrajowych między rządem a prezydentem Trzaskowskim funkcjonowałaby synergia działań i kierunków – jednoznacznie prowadząca Polskę w kierunku poważnego kryzysu rządowego i ustrojowego. A na poziomie wartości i światopoglądu w Polsce rosłaby presja na wdrażanie lewicowych pomysłów i kalk zaczerpniętych z lewicowych radykalnych grup z Zachodu.

Skupienie władzy przez jeden obóz polityczny w 2025 roku byłoby niezwykle niebezpieczne nie tylko z uwagi na radykalny, agresywny kurs, który obrał premier Tusk i jego zaplecze polityczne. Od czasu powołania rządu Tuska widać, że dwugłos polityczny w Polsce – tzw. kohabitacja – pozwolił wywalczyć wiele korekt w rządowych strategiach działania. Przejmującym i ważnym przykładem było stanowisko rządu wobec projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego. Przez miesiące ekipa Tuska sabotowała projekt budowy CPK, atakując za niego poprzednią władzę. Środowiska rządzące przekonywały, że projekt CPK to „gigantomania", stracone pieniądze i wymysły nieodpowiedzialnego rządu. W kontrze do tego działał prezydent Andrzej Duda oraz coraz liczniejsze grupy społeczne. I to właśnie dzięki tej aktywności – Polaków i prezydenta RP – rząd Tuska zaczął zmieniać swój punkt widzenia. Nacisk sprawił, że projekt CPK jest w ogóle kontynuowany. Nie byłoby zmiany nastawienia rządu – pomijam, czy obecne zapowiedzi są wiarygodne i szczere – gdyby nie silne działania prezydenckiego ośrodka politycznego podejmowane przy współdziałaniu i współpracy ze społeczeństwem. Takie czynniki nie istniałyby, gdyby prezydentem był człowiek wywodzący się z tego samego politycznego środowiska, co dzisiejszy rząd. Te grupy bowiem przez lata hołdują państwowemu minimalizmowi. Projekty inwestycyjne mogłyby więc zejść zupełnie na boczny tor, a brak politycznej przeciwwagi rozzuchwalałby rządzących i pozwalał na dalsze realizowanie nieprzemyślanej, a często szkodliwej agendy.

W pierwszych tygodniach prezydentury Karol Nawrocki bardzo mocno postawił na sprawy międzynarodowe. Odwiedził już Stany Zjednoczone, Finlandię, Litwę, Włochy, Niemcy, Francję. Szczególnie znaczące są wizyty w USA oraz Niemczech, gdzie Nawrocki stawiał bardzo wyraźnie interesy RP na agendzie rozmów, a jednocześnie prezentował linię podziału między ośrodkiem prezydenckim i rządowym. W USA prezydent rozmawiał z Donaldem Trumpem oraz jego najbliższymi współpracownikami. W tym samym czasie minister spraw zagranicznych nagrywał kompromitujące filmiki sprzed budynków amerykańskiej administracji – nie wpuszczony na żadną z poważnych rozmów. Środowiska tworzące aktualny rząd nie mają zgody na wizyty i rozmowy najwyższego szczebla ze stroną amerykańską. Na stosunkach między rządem Tuska a administracją Trumpa odłożyły się podejmowane przez środowisko rządowe w Polsce agresywne prowokacje i insynuacje kolportowane przez lata pod adresem Donalda Trumpa. Donald Tusk wprost nazywał go „rosyjskim agentem", także obecni ministrowie czy urzędnicy rządowi wielokrotnie obrażali prezydenta Trumpa. Powstaje oczywiste pytanie, czy prezydent Trzaskowski, radykalnie lewicowy polityk wywodzący się ze środowiska obrażającego Donalda Trumpa, miałby szansę na skuteczną wizytę w Waszyngtonie?

PREZYDENT NAWROCKI BARDZO TWARDO POSTAWIŁ SPRAWĘ REPARACJI WOJENNYCH, WSKAZUJĄC, ŻE JEGO WIZYTA TO PIERWSZA ROZMOWA NA TEN TEMAT.

eprasa.pl 54376c0a4f

Nie wiadomo, czy w ogóle miałby szansę na wizytę i spotkanie ze swoim amerykańskim odpowiednikiem. Istnieje ryzyko, że w okresie jego prezydentury relacje Polski i USA zostałyby realnie obniżone. To szalenie niebezpieczna sytuacja w dobie narastającej agresji rosyjskiej wymierzonej w Polskę. Odcięcie naszego kraju od realnych kontaktów z najważniejszym sojusznikiem Polski byłoby dla nas scenariuszem groźnym, a dla Rosji doskonałą okazją i sugestią, że można wzmocnić agresywne operacje wywiadowcze przeciwko RP. Na szczęście ryzyko takiego rozwoju wypadków zostało oddalone.

Trudno również wyobrażać sobie, by Rafał Trzaskowski szedł tym samym torem co Karol Nawrocki w Berlinie. Prezydent Nawrocki bardzo twardo postawił sprawę reparacji wojennych, wskazując, że jego wizyta to pierwsza rozmowa na ten temat. Wskazał nawet na konkretną propozycję, którą strona niemiecka powinna wziąć pod uwagę – sfinansowanie silnego przemysłu zbrojeniowego w Polsce w ramach rekompensaty za zniszczenia wojenne. Co istotne i znamienne, takie postulaty prezydent Nawrocki podnosił wbrew przekazowi Rządu. – Nie będziemy wspierać pana prezydenta w dążeniach o uzyskanie reparacji – powiedział wprost wiceminister spraw zagranicznych Władysław Teofil Bartoszewski pytany o wizytę w Berlinie.

RZĄD I RAFAŁ TRZASKOWSKI ZAPEWNE NIE PODEJMOWALIBY INICJATYW, KTÓRE SĄ W INTERESIE POLSKI, ALE W KONTRZE DO NAJSILNIEJSZYCH PAŃSTW UNII.

Oczekiwanie, że Rafał Trzaskowski byłby w stanie podjąć rozmowy na temat, który dla rządu Tuska od dawna jest zamknięty, jest polityczną fantastyką. Nie ma za bardzo na to szans, co oznacza, że Polska z prezydentem Trzaskowskim ten rozdział zamknęłaby na dłużej. W czasie prezydentury Trzaskowskiego w kontaktach z Niemcami czy także z Francją należałoby natomiast oczekiwać wątku, który obecnie będzie nieobecny – pracy Polski na rzecz wzmocnienia centrum Unii Europejskiej. W zakresie polityki zagranicznej prezydentura Trzaskowskiego zapewne koncentrowałaby się na tych samych priorytetach co rząd – włączaniu się w główny nurt polityki Unii Europejskiej, co w praktyce oznaczałoby poparcie dla centralizacji, a także powrót do płynięcia w głównym nurcie. Rząd i Rafał Trzaskowski zapewne nie podejmowaliby inicjatyw, które są w interesie Polski, ale w kontrze do najsilniejszych państw Unii. Wątpliwe, by prezydent Trzaskowski podnosił tak jednoznacznie choćby sprawę poszukiwania mniejszości blokującej umowę UE – Mercosour. To był jeden z tematów rozmów w Paryżu.

Prezydentura Karola Nawrockiego odwróciła wektory działań politycznych w Polsce. Silny prezydent z mocnym mandatem stanowi siłę kotwiczącą Polskę w innym nurcie politycznym niż obecny rząd. Co najważniejsze, ma to swoje przełożenie na poziom bezpieczeństwa Polski, naszą politykę militarną i ambicje dotyczące rozwoju Polski. Wpływa też na zadziorność Polski w zakresie walki o nasze interesy. Ma to krytycznie ważne znaczenie w dobie coraz agresywniejszej polityki Rosji oraz podejmowanych przez nią operacji. Widząc, co już zdołał zrobić Karol Nawrocki, jak wszedł w swoją prezydenturę i jaką jej wizję przywołuje na myśl postać Rafała Trzaskowskiego, nie sposób uciec od wrażenia: Polska i Polacy uciekli spod politycznej gilotyny. Swoim wyborem ochronili siebie i państwo przed groźnym scenariuszem.

POLSKA I POLACY UCIEKLI SPOD POLITYCZNEJ GILOTYNY. SWOIM WYBOREM OCHRONILI SIEBIE I PAŃSTWO PRZED GROŹNYM SCENARIUSZEM.

eprasa.pl 54376c0a4f

Zrobieni w drona

Kiedy zdjęcia zniszczonego domu obiegły Polskę, miliony małych i średnich przedsiębiorców zaczęły nerwowo przeglądać swoje polisy ubezpieczeniowe. Przeszło 20 wrogich dronów, które spadły w Polsce – niektóre również na Mazowszu, a nawet pod Elblągiem – pokazało, że obrona przeciwlotnicza pomimo zapewnień obecnego rządu jest **dziurawa jak sito**. To nie pierwsze bezzałogowce ze Wschodu, które pojawiły się na polskim niebie, i nie pierwsze, które spadły.

Paweł Pietkun

Razem z nimi pojawiło się pytanie, co jeśli taki dron spadnie na nasz dobytek? Co jeśli – to najgorszy scenariusz – kogoś zabije?

Zdarzenie nieubezpieczeniowe

Problem zagrożenia, jakie niosą rosyjskie i białoruskie drony polskim małym i średnim przedsiębiorcom, jest przez obecny rząd skrzętnie pomijany w komunikatach związanych z byłymi i ewentualnymi kolejnymi atakami. To błąd, bo skutki nalotu niektórzy polscy biznesmeni zdążyli poznać doskonale. W połowie lipca tego roku podobne maszyny zaatakowały ukraińską fabrykę spółki Barlinek w ukraińskiej Winnicy. Spółka jeszcze długo będzie w bilansach odczuwać ten zamierzony, jak się z czasem okazało, rosyjski atak.

Zagrożenie, które do tej pory wydawało się odległe, coraz poważniej zagraża również tym, którzy ani myśleli inwestować na Ukrainie – a już z pewnością dopóty, dopóki trwa tam rosyjska wojna. To zagrożenie, które może zniszczyć nie tylko biznes życia, ale całkiem realnie doprowadzić do nędzy przedsiębiorców, którzy nie mieli szczęścia, więc ich dobytek został trafiony rosyjskim dronem. I to nie tylko na ścianie wschodniej, jak pokazał atak z pierwszej połowy września.

Problem z atakiem dronowym polega na tym, że nawet największe uszkodzenia nie są objęte wykupowanymi chętnie polisami firm ubezpieczeniowych. Powód? Ogóle warunki ubezpieczenia nie przewidują ataku wrogiego bezzałogowca. W takiej sytuacji firmy ubezpieczeniowe odpowiadają krótko: „Strat nie pokryjemy”. Zwykle dlatego że taka szkoda po prostu nie była brana pod uwagę, choć coraz więcej firm ubezpieczeniowych wprost

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 54376c0a4f

umieszcza w umowach klauzule wyłączające odpowiedzialność „za szkody wynikłe z działań wojennych, aktów terroryzmu lub innych zdarzeń o charakterze militarnym”. To skutecznie wiążę ręce poszkodowanym, bo w Polsce – również na terenach przygranicznych – nie wprowadzono stanu wyjątkowego, który ułatwiałby staranie się o odszkodowanie od państwa.

Stan wyjątkowy pomaga przedsiębiorcom

Kiedy w 2021 roku rząd premiera Mateusza Morawieckiego zdecydował się na wprowadzenie stanu wyjątkowego na Podlasiu, chodziło nie tylko o przekazanie kontroli nad pilnowaniem porządku również żołnierzom, ale przede wszystkim o zabezpieczenie tysięcy małych i średnich przedsiębiorców, których polisy ubezpieczeniowe zostały zawieszone, bo i tak w przypadku próby ataku – również przeprowadzonego przez uchodźców przerzucanych na siłę do Polski przez służby Aleksandra Łukaszenki – nie byłyby skuteczne. Stan wyjątkowy zawiesza część kodeksów, jednocześnie dając możliwość przedsiębiorcom o staranie się u administracji rządowej o wypłacanie pieniędzy pokrywających straty związane z atakiem na Polskę. Choć rząd próbował to tłumaczyć, ówczesna opozycja oskarżała rządzących o chęć dławienia protestów i fałszowania wyborów. Niektórzy z polityków Koalicji Obywatelskiej mówili wręcz, że rząd zaczyna działać według scenariusza napisanego w Mińsku czy na Kremlu.

– Boję się, że ta sytuacja zostanie wykorzystana do tego, by w poważny sposób ograniczyć nasze prawa i wolności obywatelskie – mówił wówczas mediom Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, a po przejęciu władzy przez Koalicję Obywatelską odwołany już minister sprawiedliwości.

Jednak rzeczywiście, gdyby atak dronowy lub rakietowy zagroził podlaskim małym i średnim przedsiębiorcom, ścieżka do wypłat natychmiastowych odszkodowań byłaby otwarta. Dzisiaj nie jest. Przedsiębiorcy muszą więc liczyć na dobrą wolę firm ubezpieczeniowych lub złożyć pozew o odszkodowanie przeciwko Skarbowi Państwa (w przypadku otwartych działań wojennych, czyli faktycznego i formalnego stanu wojennego, wszystkie przepisy prawa cywilnego są zawieszone, a zaczynają obowiązywać dekrety najczęściej wydawane przez władze wojskowe, związane z wojną. Wówczas przestają również obowiązywać gwarancje i polisy ubezpieczeniowe. Jednak to okoliczności, których – miejmy nadzieję – nie będziemy musieli w Polsce sprawdzać).

Bezpieczeństwo bez instrukcji

Część międzynarodowych kancelarii prawnych uprzedza jednak,

eprasa.pl 54376c0a4f

że wygrana przed sądem w takiej sprawie byłaby bardzo trudna. Bo nawet jeżeli w tysiącach medialnych przekazów obecny rząd gwarantował bezpieczeństwo Polski i gotowość do odparcia ataku, administracja nie ponosi winy za atak z zewnątrz. Pozostałby więc pozew przeciwko temu, kto drony do Polski wysłał – ale żaden sąd w Polsce nie mógłby wpłynąć na rosyjską czy białoruską armię, żeby pokryła straty ewentualnego ataku. Nawet przy dowodach, które obecnie posiada sztab wojska polskiego, czyli samych dronach i resztkach tych, które zostały zestrzelone przez NATO-wskie myśliwce.

Zresztą warto pamiętać, że wszystkich maszyn natychmiast po ataku Rosja wyparła się – również na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ, zauważając, że polska strona nie potrafi udowodnić, skąd dron został wystrzelony, a same opisy cyrylicą to zdecydowanie zbyt mało.

Choć bolesne finansowo zniszczenie majątku to najmniejszy z problemów, z jakim może zmagać się przedsiębiorca. Gorzej, jeżeli w jego zakładzie – na przykład gastronomicznym czy fryzjerskim – uderzonym przez wrogą maszynę znajdzie się klient i zostanie ciężko ranny albo zabity. I znów odpowiedzialność spada na właściciela zakładu – polisy nie przewidują płacenia odszkodowań za wrogi atak lub zamach terrorystyczny. Faktycznie, zgodnie z prawem właściciel powinien uprzedzić klienta o zagrożeniu i zagwarantować mu bezpieczeństwo. I znów – byłoby inaczej, gdyby w Polsce korzystano z alarmów i alertów przeciwlotniczych. Jak na razie takie alarmy rozbrzmiały dwa razy – również na ścianie wschodniej, w Świdniku i w Chełmie. Reakcja mieszkańców miast była na tyle zaskakująca, że mówiły o nich wszystkie główne wydania programów informacyjnych największych polskich i europejskich stacji telewizyjnych – nikt nie szukał schronu, nikt nie chciał się chować, nie było paniki, bo praktycznie nie było żadnej reakcji. Ludzie po prostu nie wiedzieli, co w tej sytuacji robić. Również klienci zakładów usługowych – fryzjerzy kontynuowali strzyżenie, a kelnerzy dalej roznosili posiłki. Alarm dźwiękowy był poprzedzony SMS-owym alertem z Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. Uprzedzał on o zagrożeniu, ale nie wskazywał, co należy zrobić. Więc ludzie nie zrobili absolutnie nic. Nic nie zrobiły również firmy ubezpieczeniowe.

NAWET NAJWIĘKSZE USZKODZENIA NIE SĄ OBJĘTE WYKUPOWANYMI CHĘTNIE POLISAMI FIRM UBEZPIECZENIOWYCH.

MIĘDZYNARODOWE KORPORACJE I FIRMY UBEZPIECZENIOWE NIE PLANUJĄ ZMIANY POLIS I POSZERZENIA OFERTY KIEROWANEJ DLA POLSKICH FIRM.

Nadzieja w negocjacjach

Dopiero po kilku dniach politycy zaczęli bić na alarm, że społeczeństwo polskie jest nieprzeszkolone i absolutnie nie wie, jak się w wypadku alarmu przeciwlotniczego zachować. Ludzie nie wiedzą, gdzie i czy w ogóle są najbliższe schrony oraz jak wybrać piwnicę, która zagwarantuje nam minimum bezpieczeństwa. Nikt także nie zastanawia się, co – w przypadku tragedii – zostawi najbliższym, skoro polisa przestaje obowiązywać w momencie ataku obcych wojsk.

Międzynarodowe korporacje i firmy ubezpieczeniowe nie planują zmiany polis i poszerzenia oferty kierowanej dla polskich firm. Zapewniają jednak, że w takich przypadkach każdorazowo do ewentualnych zniszczeń i wypłaty polis lub ich części będą podchodzić indywidualnie. Oczywiście – jak mówią – chodzi przede wszystkim i stałych klientów.

W przypadku osób fizycznych sprawa jest łatwiejsza, bo są specjalne ubezpieczenia, które można wykupić na wypadek wybuchu wojny. Są to jednak bardzo kosztowne instrumenty finansowe – najczęściej wykorzystywane przez organizacje pomocowe i dziennikarzy. Ich członkowie (oraz dziennikarze) muszą spełniać określone i surowe warunki takich polis, na przykład w terenie zagrożonym przebywać w hełmie ochronnym i kamizelce kuloodpornej.

eprasa.pl 54376c0a4f

KARUZELA BLOGERAMI

PROFESOR PINGWIN

LEPSZOPOLACY

O ZWOLENNIKACH SZEROKO POJMOWANEJ liberalnej części sceny politycznej przyjęło się mówić „Fajnopolacy". Warto rozważyć zmianę tej nazwy, bo już dawno nie chodzi tu o bycie fajnym.

Rok 2015. Rząd Zjednoczonej Prawicy planuje wprowadzić w życie swoją sztandarową propozycję 500+, a my wszyscy jesteśmy świadkami zmasowanego ataku na ten pomysł. Od zwolenników opcji liberalnej i ich medialnych guru możemy usłyszeć dramatyczne przestrogi: że program jest nieodpowiedzialny, że to kupowanie głosów biednych i gorzej wykształconych, że Polacy na pewno zaczną rezygnować z pracy i te pieniądze na masową skalę przepijać.

Rok 2025. Te same osoby rozrywają szaty nad pomysłem Karola Nawrockiego, aby ograniczyć 800+ dla bezrobotnych obywateli Ukrainy przebywających na terytorium Polski. Krystyna Janda i grono kojarzonych z liberalną stroną artystów piszą dramatyczny list protestacyjny, a Rafał Trzaskowski pewnie tylko śmieje się w duchu ze swojego elektoratu, bo to przecież pierwotnie jego pomysł z czasów kampanii wyborczej. Coś, co jeszcze chwilę temu było rozsądnym pomysłem popieranym przez przytłaczającą większość Polaków, teraz – proponowane przez krwiożerczego populistę – stało się najgorszym, najmniej humanitarnym postulatem, jaki można sobie wyobrazić.

Zresztą, podejście tego środowiska do nowego prezydenta Polski pozwala nam zaobserwować całą gamę lepszopolskich zachowań i odruchów. Bo przecież jak to możliwe, że człowiek wywodzący się z biedy, były „kibol", po licznych przejściach i doświadczeniu pracy na bramce, w ogóle może startować w wyborach na najwyższy urząd w państwie? Doktor prawa, telewizyjny celebryta, przedstawiciel elity artystycznej – to tak, jak najbardziej. Ale kibol z robotniczej dzielnicy? No już nie przesadzajmy z tą demokracją, przecież prezydentem powinien być jednak ktoś na jakimś poziomie!

Podobne reakcje wywołała pierwsza zagraniczna wizyta Karola Nawrockiego, która odbyła się w Stanach Zjednoczonych. Powracającym ciągle u zwolenników strony liberalnej, jeszcze od czasów prezydentury Andrzeja Dudy, wyznacznikiem „lepszości", który ma być rzekomo jedną z linii demarkacyjnych oddzielającą ich od tej polskiej, zacofanej hołoty, ma być znajomość języków obcych. Jeszcze w trakcie kampanii wyborczej mogliśmy słyszeć liczne szyderstwa skierowane w stronę kandydata popieranego przez PiS, że na pewno taki kibol jak on to w ogóle nie zna angielskiego i tylko skompromituje nas w świecie. I choć okazało się, że ten jak na złość potrafi całkiem swobodnie operować tym językiem podczas rozmów z Donaldem Trumpem, nie przeszkodziło to w objawieniu się licznych ekspertów od tego języka, analizujących każde jego słowo i wyśmiewających słowiańsko brzmiący akcent.

Świat faktów, zachowanie elementarnej przyzwoitości czy poczucie żenady związane z ciągłymi ideologicznymi woltami wymuszonymi potrzebą ciągłego pozycjonowania się w opozycji do tych, których uważają za gorszych – to wszystko nie ma dla tego środowiska większego znaczenia. Jedyne, co się liczy, to pielęgnowanie w sobie poczucia wyższości – a że z oczywistych przyczyn obiektem tego poczucia nie mogą być chociażby mieszkańcy Zachodu, to padło na „dziki lud" z Polski B, z którym mają nieszczęście współdzielić ten kraj.

Tylko na tych kilku przykładach możemy zaobserwować to, co naszkicowałem na początku – tu już nie chodzi o bycie „fajnym". To jeszcze, choć często żenujące i naiwne, miało w sobie jednak jakiś pierwiastek pozytywny – przynajmniej w teorii chodziło przecież o bycie bardziej przyjaznym wobec innych i otwartym na świat. Tego dawno już nie ma. Zostały gorycz, poczucie niesprawiedliwości, teorie spiskowe i pielęgnowanie w sobie tej ostatniej myśli, która pomaga utrzymać poczucie własnej wartości zbudowane na kłamstwie: „Przynajmniej jestem lepszy o zwykłego Polaka".

eprasa.pl 54376c0a4f

Ostatnie spojrzenie Iryny Zaruckiej

eprasa.pl 54376c0a4f

Fot. YouTube.com

Obraz z monitoringu CCTV pokazujący zabójstwo Iryny Zaruckiej w sierpniu br.

Iryna Zarucka miała zaledwie **dwadzieścia trzy lata**. Była dziewczyną bez skazy, uśmiechniętą i dobrą – tak opisywali ją najbliżsi, rodzina i przyjaciele. Mogła studiować, pracować, przyjaźnić się i kochać. Mogła wszystko. Mieszkała przecież w kraju nieograniczonych możliwości.

Marcin Darmas

Iryna została zamordowana z zimną krwią. Brutalnie i bez sensu, w miejscu publicznym. Żaden ze świadków zabójstwa dziewczynie nie pomógł. Milczeli, gdy została napadnięta, gdy po cichu płakała i wykrwawiała się przez długie minuty. O jej śmierci postanowiono również milczeć „dla ogólnego dobra", aby „nikogo nie prowokować", nie tworzyć „niepotrzebnych sensacji". Media bały się tematu. Dziennikarze swoim milczeniem opowiedzieli się, jak pisał Albert Camus, po stronie „morderczej zgody". Zamiast informować, zaczęli ważyć i rozstrzygać o konsekwencjach. „Błędem" Iryny był jej biały kolor skóry. Ambarasem dla mediów zaś był kolor skóry mordercy. A tragedia, która rozegrała się na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, nie pasowała do matrycy.

Iryna Zarucka uciekała przed bestiami ze Wschodu, a zabiła ją bestia nowego gatunku, owa szczególna moda, według której należy karać za winy dziadków. Cóż ona sama mogła wiedzieć o niewolnictwie, o spłacie długu za wielowiekową supremację białych, o toczącej się pod powierzchnią Ameryki chorobie, w jej ciemnych zaułkach, a także przy udziale akademików, dziennikarzy i polityków, o epidemii, którą Pascal Bruckner celnie nazwał rozprzestrzenieniem „tyranii skruchy"? Przed kim i z jakiego powodu miała klęczeć, żałować za domniemane zbrodnie antenatów? Irynę zabiło ostrze Decarlosa Browna Jr., lecz usiłowali ją powtórnie zabić owładnięci poprawnością polityczną żurnalowi kaznodzieje. Współczesna wizja rasizmu jest bowiem ekskluzywna, jednokierunkowa. Kto zaś będzie twierdził, że „all lives matter", że liczy się każde istnienie, ten zostanie oskarżony o rasizm.

Rozum sam jest nieporadny, trudno pojąć to, co ostentacyjne, niemal szokująco ewidentne. Jakże trudno wobec zbrodni tak okrutnej i bezsensownej polegać na intelekcie, być może wzniosłym, być może i momentami olśniewającym, lecz tutaj bezradnym, mogącym zwieść na manowce. Jednak chęć zrozumienia pozostaje i nie daje spokoju. Pytania się multiplikują, eksplodują niepohamowanie w potoku garści faktów i straszliwego zapisu dokonanego przez kamerę przemysłową. Jedno pytanie rodzi kolejne, prowadzi do labiryntu zagadek, ale i błędów, zaniedbań i umysłowego zakażenia. Pozostają te najbardziej szczegółowe pytania dotyczące owego feralnego wieczoru, tuż przed, jak i po tym, gdy Irynę dźgnięto trzykrotnie w krtań i pozostawiono bez pomocy. Najmniejszy szczegół tej historii urasta do kapitalnych rozmiarów, gdzie mocują się ze sobą zasada serca z zasadą umysłu.

Krążący od kilku tygodni w mediach zaledwie dwuminutowy filmik dokumentujący zabójstwo

eprasa.pl 54376c0a4f

Iryny Zaruckiej te nieuporządkowane spostrzeżenia potęguje. Przyjrzyjmy się zapisowi przemysłowej kamery, klatka po klatce.

22 sierpnia o godzinie 21.46, mieszkająca w Charlotte (Karolina Północna) Iryna wchodzi do podziemnej kolejki linii Lynx Blue na stacji East/West Boulevard. Czas zainicjować serię dokuczliwych interrogacji. Dlaczego dziewczyna poruszała się o tej godzinie po mieście? Czego szukała? Czyżby miejskich, nocnych przygód? A może cierpiała na bezsenność i krzątała się bez celu po mieście wschodniego Wybrzeża? Nic z tego. Nie należy wysuwać cudów fantazji tam, gdzie jaśnieje banalna prawda codzienności. Iryna bowiem wracała z pracy. Jej otoczenie zaświadcza zresztą o jej pracowitości oraz odwadze. Godziła wiele pasji i obowiązków. Prócz kelnerowania w knajpie wyprowadzała sąsiadom psy na spacer. Marzyła o niesieniu pomocy innym. Kochała zwierzęta. Chciała zostać technikiem weterynaryjnym.

Tego dnia zamykała pizzerię Zepeddie's, w której pracowała. Z pewnością musiała długo rozmawiać z kolegami, z kelnerkami i kucharzami. Nie trzeba się szczególnie wysilać, aby te zręby codzienności sobie wyobrazić. Korowody dowcipów, być może łapanie tzw. głupawki po dobrze przepracowanym dniu, a potem na serio przeliczanie utargu i napiwków oraz w międzyczasie zamykanie kasy. Ktoś z obsługi lokalu wybierał się jeszcze na siłownię, a ktoś inny pakował do kartonowego opakowania kawałek włoskiego placka.

Iryna była uśmiechniętym promykiem, któż mógł twierdzić inaczej? Tego dnia powinna wracać dziesięć minut wcześniej albo dziesięć minut później, wszystko jedno. Nie powinna wsiadać do tego wagonika, lecz do tego bliżej początku składu, obok konduktora. Na marginesie, plączą się wobec złowrogiego losu inne żądania. Obezwładnia nierozpoznawalna organizacja najdrobniejszych przejawów życia. Mówi się „o mały włos" albo „niewiele brakowało". Tutaj zabrakło kilku minut, zabrakło awarii metra albo innego zbiegu okoliczności, który by spowodował, że Iryna dziś by żyła, uśmiechała się, szykowała do zajęć, przeglądała zdjęcia na Instagramie. W tym przypadku nie było prozaicznych powodów, wszystkie były na miarę życia. Na miarę ocalenia Iryny Zaruckiej. Wystarczyło, żeby dziewczynę zatrzymał w drzwiach restauracji cichy wielbiciel. Dlaczego nikt, żaden mężczyzna, jej o tej godzinie nie odprowadzał? To staromodne, wiadomo, może nawet naiwne. Tak już się przecież nie robi. Nikt już tego nie proponuje z obawy, że będzie podejrzewany o nieodpowiednie zamiary.

NAJMNIEJSZY SZCZEGÓŁ TEJ HISTORII URASTA DO KAPITALNYCH ROZMIARÓW, GDZIE MOCUJĄ SIĘ ZE SOBĄ ZASADA SERCA Z ZASADĄ UMYSŁU.

Zatem Iryna wracała do domu sama. Między pizzerią a wejściem do podziemia mogła jeszcze przez chwilę stanąć przed witryną sklepu. Zagapić się. Nie, Iryna musiała się śpieszyć. Było przecież późno. Być może rozkoszowała się ciepłym wieczorem, przechodząc przed Mint Museum of Art. W jej rodzinnym Kijowie noce nie są przecież tak piękne, jak tu, w Charlotte. Rodzina Zaruckich wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych po napaści Rosji na Ukrainę. Irynie najłatwiej przyszła adaptacja w nowym entourage'u. Szybko nawiązywała przyjaźnie, zaczynała pracę czy dodatkowe zajęcia. Gdy nadarzała się okazja, tworzyła dla najbliższych artystyczne kolaże.

Wychodząc z pracy, Iryna nie zdążyła nawet zmienić ubrań. Miała na sobie firmowy T-shirt z napisem „Zepeddie's" oraz czapkę z daszkiem. Usiadła na wolnym miejscu. Wokół niej było sześć osób, najbliżej, po jej prawej stronie dziewczyny, kobieta nerwowo trzymała pęk kluczy. Ukrainka była jedyną białą kobietą w wagonie. Gdy ruszyła podmiejska kolejka, dziewczyna wyjęła telefon. Co oglądała na ekranie smartfonu przez cztery minuty i trzydzieści sekund? Media społecznościowe, grafik na przyszły tydzień, wieści z frontu, wiadomości od przyjaciół z Kijowa, teledysk, a może sprawdzała kryteria przyjęcia do szkoły weterynaryjnej? Czy zdążyła napisać do najbliższych standardową wiadomość tekstową: „Jestem w metrze. Będę za chwilę"? Nie wiemy. Media zabójstwem Iryny nie chciały się interesować. Może gdyby przyjechała z innego kontynentu, jej historia byłaby warta kilku kolumn w wysokonakładowej gazecie? Może nawet wybuchłyby przez nią w całych Stanach Zjednoczonych rozróby, a niektórym statuom obcinano by głowy?

Na filmie Iryna ma skupioną twarz, jest skulona, a jej nogi ułożone są na oparciu. Może była po całym dniu zmęczona i rozkojarzona, a więc patrzyła bezwiednie na czarny ekran, marząc o kąpieli i łóżku? Po czterech minutach i trzydziestu sekundach siedzący za Iryną zakapturzony

eprasa.pl 54376c0a4f

trzydziestoczteroletni Decarlos Brown Jr., wyjął z kieszeni scyzoryk, rozłożył go, wstał i trzykrotnie ugodził dziewczynę w szyję. Następnie czarnoskóry mężczyzna spokojnie zaczął odchodzić. Iryna odwróciła się, spojrzała w oczy swojemu mordercy i zrozumiała. Schowała na sekundę twarz w dłoniach. Wahała się, czy spojrzeć w dół. Spojrzała. Nie miała już żadnych wątpliwości. Wiedziała i zrozumiała wszystko. Była jednak wstrząśnięta niesłychaną męką niesłychanego niezrozumienia. Tak głupio, tak młodo, bez motywu. Czemu nikt nie zareagował? Gdy Decarlos Brown Jr. wychodził z przedziału, podążył za nim inny mężczyzna. Nie zatrzymał jednak mordercy. Po prostu śpieszył się do domu. Decarlos Brown Jr. na peronie przechwalał się zaś swoim czynem. Krzyczał: „Zabiłem białą dziewczynę!". W końcu mężczyznę aresztowano.

Morderca ma bogatą kartotekę. Stale pozostawał bez stałego zatrudnienia, bez dachu nad głową. Został aresztowany co najmniej 14 razy, a skazany aż 12. W 2020 roku wyszedł z więzienia po odbyciu pięcioletniego wyroku za napad z bronią w ręku. Zaledwie pięć miesięcy po opuszczeniu aresztu został znów aresztowany za znęcanie się nad siostrą. Niedawno został wezwany do złożenia wyjaśnień przed sądem Charlotte po wykonywaniu licznych, nieuzasadnionych połączeń alarmowych pod numer alarmowy 911. Podczas rozmów z dyspozytorem Brown Jr. twierdził, że „obcy obiekt" kontroluje jego ciało, zmuszając go do jedzenia, chodzenia lub mówienia. Po raz pierwszy pojawił się w sądzie pod koniec stycznia, zanim jego rozprawa została odroczona. Sędzia Teresa Stokes zdecydowała wówczas o jego zwolnieniu w zamian za „pisemne przyrzeczenie", w którym zapewniał, że stawi się na każde wyzwanie sądu. „Policja w Charlotte dobrze znała Browna" – zapewnia dziennikarz WSOC-TV Joe Bruno. „Spotkali się z nim trzy razy w 2024 roku i za każdym razem kierowali go do specjalistycznych placówek". Bezskutecznie. Brown za każdym razem wychodził na wolność.

IRYNA ZARUCKA UCIEKAŁA PRZED BESTIAMI ZE WSCHODU, A ZABIŁA JĄ BESTIA NOWEGO GATUNKU, OWA SZCZEGÓLNA MODA, WEDŁUG KTÓREJ NALEŻY KARAĆ ZA WINY DZIADKÓW.

Nie sposób nie porównywać zabójstwa Iryny Zaruckiej do innej tragedii, do mordu George'a Floyda w maju 2020 roku. Wówczas policyjna zbrodnia zainicjowała masowe protesty na terenie Stanów Zjednoczonych. Towarzyszyły im obalanie pomników, głównie – co oczywiste – konfederatów jak Charles Linn czy Raphael Semmes. Niektóre pomniki oblewano czerwoną farbą, inne używano jako tablic ze sloganami: „rasist", „murderer" albo „Black Lives Matter". Obalone pomniki władze miast amerykańskich w przeważającej większości na trwałe usunęły z ulic. W mimetycznej frenezji amerykański ruch „Black Lives Matter" zaczął się szybko rozprzestrzeniać i uderzył głównie w dawne potęgi kolonialne.

Kogo dziś wzruszy i oburzy zabójstwo dwudziestotrzyletniej dziewczyny z Kijowa? Kto właściwie oceni zbrodnię schizofrenika z Charlotte? Odpowiedź znajduje się w ostatnim spojrzeniu Iryny Zaruckiej.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl 54376c0a4f

Charlie Kirk – „szczęśliwy wojownik”

„**Ameryka nigdy nie będzie taka sama**” – tak brzmiał ostatni wpis Charliego Kirka na platformie X, w którym odnosił się do zabicia młodej Ukrainki przez czarnoskórego mężczyznę w pociągu w Charlotte w Karolinie Północnej. Chwilę potem zginął także sam Charlie.

Agnieszka Żurek

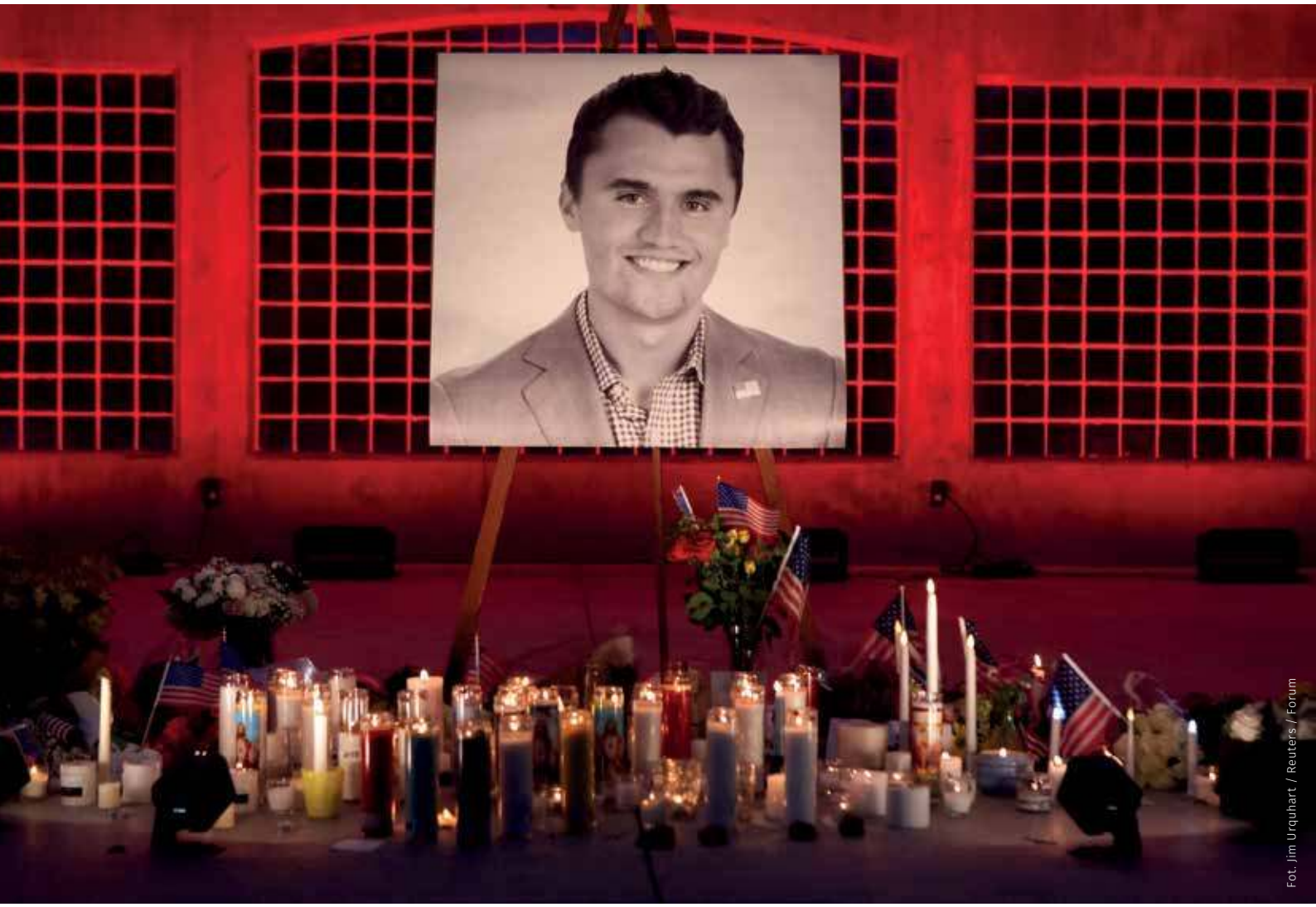

Fot. Jim Urquhart / Reuters / Forum

eprasa.pl 54376c0a4f

Kim był zabity przez snajpera postrzałem w szyję podczas spotkania z młodzieżą na Utah Valley University założyciel konserwatywnej organizacji Turning Point USA?

Powrót do ojców założycieli

„Bóg, Rodzina, Ojczyzna. W tej kolejności" – taką dewizę sformułował, pisząc o sobie w mediach społecznościowych. Walkę o rodzinę przeniósł do przestrzeni publicznej, obierając sobie za misję zmianę neomarksistowskiego paradygmatu obowiązującego w jego opinii w amerykańskim szkolnictwie na wszystkich jego poziomach. Charlie nie tylko wskazywał na duchowe i moralne zagrożenia z nim związane, ale także dążył do otwierania oczu młodym ludziom na intelektualne manipulacje współczesnych ideologii stanowiących w jego opinii narzędzie zniewolenia sprytnie ukryte za atrakcyjnie i nowocześnie brzmiącymi hasłami. Charlie Kirk chciał powrotu do Ameryki ojców założycieli, opartej na wartościach chrześcijańskich. W 2024 roku sformułował ważną myśl: „Jednym z powodów, dla których przeżywamy kryzys konstytucyjny, jest to, że nie mamy już chrześcijańskiego narodu, ale mamy chrześcijańską formę rządu, a to jest nie do pogodzenia. Nie możesz mieć wolności, jeśli nie masz chrześcijańskiego narodu". Sprzeciwiał się islamizacji USA, dostrzegając w niej narzędzie stosowane przez radykalną lewicę w celu wyrugowania z kraju wartości, które stanowią jego fundament. – Islam jest mieczem, którego lewica używa, by poderżnąć gardło Ameryce – mówił.

> ***Wielbię Boga, który pokonuje zło. Wielbimy Boga, który w końcu zwycięża.***
>
> **CHARLIE KIRK**

Charlie przemierzał ze swoimi wykładami Stany Zjednoczone wzdłuż i wszerz, słynąc z odwagi, pracowitości, konsekwencji i otwartości na debatę z każdym przeciwnikiem. „Różnica zdań jest zdrową częścią debaty" – mawiał. Zginął właśnie podczas jednego ze spotkań z młodzieżą. Jego śmierć wywołała ogromne poruszenie w Stanach Zjednoczonych, także wśród osób o odmiennych od niego poglądach. Hołd oddał mu m.in. słynący z lewicowych przekonań Bruce Springsteen, członkowie zespołu Metallica zapowiedzieli sfinansowanie edukacji jego dzieci, a z kolei Mick Jagger stwierdził w mediach społecznościowych, że zabójstwo Charliego Kirka przyprawia go o mdłości. „Jesus is coming soon!" (Jezus przybędzie niebawem!) – napisał artysta.

MICK JAGGER STWIERDZIŁ W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH, ŻE ZABÓJSTWO CHARLIEGO KIRKA PRZYPRAWIA GO O MDŁOŚCI. „JESUS IS COMING SOON!" (JEZUS PRZYBĘDZIE NIEBAWEM!) – NAPISAŁ ARTYSTA.

Harcerz Orli

Charles James Kirk urodził się 14 października 1993 roku w Arlington Heights w stanie Illinois na przedmieściach Chicago, a wychował w pobliskim Prospect Heights. Jako ciekawostkę można odnotować, że jego ojciec Robert W. Kirk jest architektem, który był zaangażowany w budowę Trump Tower. Mama Charliego pracuje jako terapeutka. Kirk był członkiem Boy Scouts of America (Skauci Ameryki) i zdobył stopień Eagle Scout (Harcerz Orli, najwyższy stopień w organizacji, który zdobywa w USA zaledwie 4% harcerzy). Podczas nauki w gimnazjum czytał książki ekonomisty Miltona Friedmana, które uformowały część jego poglądów.

Miał zacięcie społeczne od najmłodszych lat, w liceum przeprowadził kampanię mającą na celu zahamowanie podwyżek cen ciastek w swojej szkole. Z czasem zaczął angażować się w działalność nie tylko społeczną, ale i polityczną, wspierając ruch MAGA, ale przede wszystkim walcząc o budowanie świadomości młodych Amerykanów. Prowadził codzienny trzygodzinny podcast radiowy, który osiągał setki milionów pobrań dziennie. Był chrześcijaninem, protestantem (odmawiającym jednak Różaniec!), sprzeciwiał się aborcji, promocji ideologii LGBTQ, nielegalnej migracji, a także ideologii klimatyzmu, określając ją „kompletnym bełkotem, nonsensem i stekiem bredni". Globalne ocieplenie uznawał za mit

eprasa.pl 54376c0a4f

i „pseudoreligię". W czasie pandemii COVID-19 jego konto w mediach społecznościowych zostało czasowo zablokowane, ponieważ sprzeciwiał się narzucanym odgórnie metodom zwalczania wirusa. Krytykował także przymus szczepień.

Założona przez niego młodzieżowa organizacja konserwatywna Turning Point USA odegrała istotną rolę w walce Donalda Trumpa o prezydenturę, jednak jej cele to przede wszystkim zmiana świadomości Amerykanów, nie zaś jedynie szukanie doraźnych rozwiązań politycznych. „Wielbię Boga, który pokonuje zło" – powiedział Kirk na wiecu poparcia dla Trumpa w zeszłym roku. „I wielbimy Boga, który w końcu zwycięża" – dodał.

Jak stwierdziła po zabójstwie Charliego wdowa po nim, Erika, zmagania o Amerykę to „przede wszystkim walka duchowa, która jest namacalna". Erika zapowiedziała kontynuację misji zmarłego męża. – Ruch, który zbudował mój mąż, nie umrze – zapowiedziała. Podkreśliła, że Charlie Kirk, „teraz i na wieki będzie stał u boku swego Zbawiciela w chwalebnej koronie męczennika". – Wiem, że mój mąż wciąż tu jest, czuwa nad nami – dodała.

Reszta jest przyszłością

Na szerokie wody działalności publicznej Charlie Kirk wypłynął wspólnie z dziennikarką Candace Owens, która zadeklarowała, że nie pozwoli na szarganie pamięci o swoim przyjacielu, jak również na to, aby pod jego dziedzictwem podpisywali się ludzie, którzy nie byli jego przyjaciółmi, a nawet go zwalczali. – Byłeś moim przyjacielem i nigdy mnie nie zawiodłeś – powiedziała Owens. Podkreśliła, że wspólnie z Charliem dojrzewali politycznie i odkrywali kolejne warstwy skomplikowanej rzeczywistości amerykańskiego życia publicznego. Zaznaczyła, że ich przyjaźń przetrwała wiele prób i ataków, a oni pozostali lojalni wobec siebie nawet wówczas, kiedy mieli inne spojrzenie na niektóre kwestie. Owens zamieściła w swoim nagraniu kilka wspólnych filmików z Charliem, podkreślając, jak wesołym i skłonnym do żartów, autoironicznym, a przy tym zasadniczym w kwestiach dotyczących wartości był człowiekiem. – Niektórzy mówią, że Charlie był nadęty czy zadufany. Nie można o nim powiedzieć nic dalszego od prawdy. Charlie był, owszem, ambitny, ale miał mnóstwo dystansu do siebie. Pamiętam, że kiedy zaczynaliśmy wspólną pracę i kiedy jeszcze nikt o nas nie słyszał, Charlie nosił jakieś strasznie workowate ubrania, jakby należał już do trzeciej generacji, która dziedziczy je w jego rodzinie. Strasznie się śmiał, kiedy mu o tym powiedzieliśmy i kiedy prosiliśmy, żeby jednak kupił porządny garnitur. Był tak skupiony na swojej misji, że nie zwracał uwagi na takie drobnostki, jak ubrania – opowiadała dziennikarka.

> ***Nigdy nie mówiliśmy: «Reszta jest historią», ale zawsze: «Reszta jest przyszłością». Dziś ja mówię to za Ciebie: «The rest is future».***
>
> **CANDACE OWENS**

– Pamiętam, kiedy się poznaliśmy i rozmawialiśmy o tym, czym ma być organizacja Turning Point USA, Charlie rysował z pasją plany i mapy na serwetkach w restauracji w oczekiwaniu na lot. Naprawdę był wizjonerem. I już wtedy mówił, że chce stworzyć największą młodzieżową organizację konserwatywną nie tylko w Stanach, lecz także na świecie. Jego wzorem był Rush Limbaugh, zawsze powtarzał, że jeśli uda mu się osiągnąć coś podobnego do programu „Rush Limbaugh Show", będzie szczęśliwy. I udało mu się to. Jego dewizą życiową było: „Będziemy pracować ciężej niż nasi przeciwnicy i dzięki temu osiągniemy sukces". Charlie nauczył mnie, jak funkcjonuje świat polityki i tego, jak bardzo lubi on sztucznie kreować wrogów – mówiła Owens.

Candace wspominała też, że Charlie był świadkiem, kiedy poznała swojego męża, i śmiała się, że pierwsze pytanie, jakie jej zadał, brzmiało: „Ale czy to będzie dobre dla twojej marki?". Później, kiedy sam zakochał się w Erice, „zrewanżowała" mu się żartobliwymi pytaniami, czy jego oświadczyny będą pytaniem o chęć tworzenia wspólnej marki. Podkreśliła, że mimo młodego wieku bardzo serio traktował misję, której się podjął i bardzo ciężko pracował. – Oboje zdecydowaliśmy hołdować dwóm zasadom: nigdy nie odmawiać zaproszenia do Fox News (choćby oznaczało to wstanie przed 4 rano) oraz nie pić alkoholu podczas naszych podróży na wiece i wykłady. Uznaliśmy, że alkohol nie wzmacnia, ale osłabia, a my chcieliśmy być jak najsilniejsi i najbardziej efektywni w przekazywaniu tego, w co wierzymy – mówiła. – Wierzyłeś w to, co robisz, całym sercem. Byłeś szczęśliwym wojownikiem – stwierdziła Owens. I dodała: – Nigdy nie mówiliśmy: „Reszta jest historią", ale zawsze: „Reszta jest przyszłością". Dziś ja mówię to za Ciebie: „The rest is future".

eprasa.pl 54376c0a4f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Monika Małkowska

Niewidoczne granice

Jest takie zapomniane słowo: sumienie. Kiedyś busola moralna, dziś balast, którego trzeba się pozbyć. Co w zamian? No, obietnica dobrobytu, sukcesu, popularności. Czasem nawet spełnienie obietnic. W ogóle łatwiejsze jest życie bez rozterek. Jeżeli ktoś jeszcze kieruje się kompasem moralnym, tym gorzej dla niego. A zupełnie fatalnie, gdy się z tym wychyli. Nie tylko ryzykuje utratę pracy (wcale nie przesada, kto odważy się wyartykułować niezgodę na kanty, staje się zagrożeniem dla konformistycznej większości, zyskując na do widzenia łatkę „kapusia"). Taki ideowiec traci też na towarzyskim gruncie, odsuwają się od niego znajomi, którym „wszystko jedno" i bytują w etycznym budyniu.

Pół wieku temu Jan Krzysztof Kelus wybrzdąkiwał „Piosenkę o drugiej Polsce":

„Wierzący, co wierzą, że muszą być w Partii/ bo żona, bo dziecko, bo raty, bo maluch/ partyjni, co chyłkiem przyjmują komunię/ bo bony na cukier, bo bony do raju/ – zbudować dziś mają tę DRUGĄ, choć pierwsza/ dla jednych jest gorsza/ dla drugich jest lepsza".

To podobno komuna przetrąciła rodakom charaktery. „Niektóre kręgosłupy są niezłomne, ale rozciągliwe" – zsyntetyzował to zjawisko Stanisław Jerzy Lec w „Myślach nieuczesanych" pół wieku temu z okładem. Jednak moralna elastyczność (istniejąca jak świat światem, ale w różnej skali) stała się naszą narodową specjalnością w efekcie transformacji. Już na początku III RP rozpowszechniło się porzekadło „pierwszy milion trzeba ukraść". Slogan, który wyrażał ogólnospołeczne przyzwolenie na wykorzystywanie „luk prawnych" oraz chęć jak najszybszego dorównania poziomem życia krajom zachodnim. Bogacenie się na urra! było odreagowaniem kompleksu kopciuszka Europy. Polacy chcieli się odkuć na własnym terytorium, bez jeżdżenia na saksy, handlowania torcikami wedlowskimi w zamian za markowe ciuchy, jumania czy podróżowania niemieckimi powypadkowymi wrakami.

Od początku III RP stała się „dla jednych lepsza, dla drugich gorsza". A co gorsza, „gorszość" i „lepszość" z biegiem lat coraz bardziej dzielą rodaków. I nie stan majątkowy jest decydujący, choć bezpieczeństwo finansowe jednym pozwala czuć się „elitą", życie w niedostatku innym przynosi zaś społeczną ekskluzję. Istnieje jeszcze niewidoczna gołym okiem demarkacja. Chodzi o przyzwolenie na przekręty lub brak dla nich akceptacji. Właśnie ta aksjologiczna granica przedzieliła Polaków najmocniej. Żyj i pozwól żyć innym – pamiętacie tę dewizę? Teoretycznie chodzi o tolerancję, wzajemny szacunek i niewtykanie nosa w nie swoje sprawy. W istocie rzecz polega na przymykaniu oczu na mikro- lub wielkoskalowe unikanie/ wymykanie się prawu. W PRL-u, podobnie jak za okupacji, premiowana była „zaradność". Rozpowszechnił się system łapówek, eufemistycznie zwanych wziątkami, kopertówkami czy „formą wyrażania uznania". Po 1989 roku drobne „gratyfikacje" urosły do gigantycznych korupcyjnych afer. Jeszcze w latach 90. głośno było o lewej prywatyzacji dawnego majątku publicznego. Teraz nikt nie rozlicza monstrualnych przewałów ani się nimi nie oburza, bo coraz więcej umoczonych. Sprzeciwiają się tylko frajerzy.

eprasa.pl 54376c0a4f

Tożsamość i nadzieja.
Europa Środkowa w epoce zmian

Przedstawiciele świata nauki, gospodarki i polityki z Austrii, Chorwacji, Czech, ze Słowacji, Słowenii, z Węgier, Włoch i Polski przez dwa dni debatowali w Lublanie o historii i tożsamości, ale także przyszłości Europy Środkowej. **Fundacja Promocji Solidarności** zaprezentowała historię Solidarności i dziedzictwo św. Jana Pawła II w 45. rocznicę powstania Związku oraz 105. rocznicę urodzin papieża Polaka.

Adam Chmielecki

Fot. Adam Chmielecki(2)

Europa Środkowa – stały element w zmieniającym się świecie – optymistycznie brzmiał tytuł konferencji zorganizowanej 15 i 16 września br. w stolicy Słowenii przez tamtejsze środowiska konserwatywne i katolickie (Stowarzyszenie Kultury i Sztuki KUD KDO, katolicki tygodnik „Družina", Stowarzyszenie „Zbor za Republiko" i Stowarzyszenie na rzecz Wartości Niepodległości Słowenii).

Debata – podzielona na panele poświęcone kwestiom historycznym i tożsamościowym, ale również geopolitycznym i kwestiom bezpieczeństwa – była realistyczna. Wielu panelistów podkreślało wspólnotę wartości i interesów całego regionu, ale również różnice w postrzeganiu niektórych problemów przez poszczególne państwa. Nie zmieniło to jednak przekonania, że regionalną współpracę trzeba rozwijać i zacieśniać na wielu poziomach, przede wszystkim współpracy ekonomicznej, infrastrukturalnej i w dziedzinie bezpieczeństwa, a także wzajemnego poznawania się. Przejawem realizmu była również świadomość potencjału regionu w różnych wymiarach, który stanowi „tylko i aż" około jednej trzeciej potencjału całej Europy Zachodniej. W poszczególnych wystąpieniach powracał motyw specyficznego „genius loci" regionu, który jest inny, bardziej zdroworozsądkowy i tradycjonalistyczny niż w innych częściach Starego Kontynentu. Jednocześnie Europa Środkowa jest nierozerwalnie częścią tzw. kolektywnego Zachodu, cywilizacji zachodniej.

eprasa.pl 54376c0a4f

Miro Kovač, chorwacki parlamentarzysta i były minister spraw zagranicznych, wskazał na przełom, który niezauważenie dla większości obserwatorów nastąpił w Europie w ostatnich dekadach. Państwa Europy Środkowej dokonały dynamicznego rozwoju gospodarczego i infrastrukturalnego, zachowując jednocześnie swoją tożsamość. To sprawiło, że pod wieloma względami wyprzedziły zachodnią część Europy. Teraz to Europa Środkowa, kiedyś nazywana „nową", stała się „Starą Europą" w pozytywnym rozumieniu tego słowa – „nową Starą Europą", miejscem, w którym dobrze się żyje.

W podobnym tonie wypowiedział się Roman Joch, dyrektor Instytutu Obywatelskiego w Pradze, który podkreślił, że narody Europy Środkowej lepiej rozumieją historię. – W Europie Zachodniej bezpośrednie doświadczenie wojny i komunizmu skończyło się w 1945 roku, podczas gdy w Europie Środkowej jeszcze długo walczyliśmy z komunizmem. Między innymi dlatego jesteśmy bardziej odporni na rozmaite mody ideologiczne – podsumował Roman Joch.

Alojz Peterle, pierwszy premier niepodległej Słowenii na początku lat 90., podkreślił, że Europa jest zbudowana na chrześcijaństwie, ale w ostatnich latach doszło do dynamicznych zmian społecznych. – Rzeczywistość wygląda inaczej nie tylko w porównaniu z tym, co było sto czy osiemdziesiąt lat temu, ale również z tym, co było dziesięć czy osiem lat temu. Trzeba odpowiedzieć na wyzwania współczesności, z których najważniejszym jest zachowanie pokoju.

Przedstawiciel Fundacji Promocji Solidarności (autor tekstu) zaprezentował wartości i tożsamość Europy Środkowej i Wschodniej w kontekście nauczania i dziedzictwa św. Jana Pawła II, a także wpływ Ojca Świętego na przemiany duchowe i społeczno-polityczne w tej części Europy. Ten wpływ był znaczący i co najmniej trojaki. Po pierwsze, Jan Paweł II był duchowym ojcem i patronem Solidarności, która przyczyniła się do obalenia komunizmu w regionie. Wpływ papieża na dzieje pierwszego niezależnego związku zawodowego od Łaby do Władywostoku, który potem sam emanował na inne państwa bloku wschodniego, zaczął się przecież jeszcze przed jego powstaniem, od słynnego wezwania Jana Pawła II podczas jego pierwszej pielgrzymki do ojczyzny w 1979 r.: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi". Po drugie, nauczanie i pielgrzymki papieża do Polski, ale także do innych państw Europy Środkowej (poza Polską już po 1989 roku), przyczyniły się w dużej mierze do moralnej odnowy społeczeństw regionu, który na tle Europy Zachodniej wyróżnia się przywiązaniem do wartości chrześcijańskich i swoistą społeczną stabilnością. Po trzecie, Jan Paweł II jako mąż stanu wspierał prawa uciskanych narodów Europy Środkowo-Wschodniej do samostanowienia. Działania dyplomatyczne Stolicy Apostolskiej i osobiście Ojca Świętego najpierw wspierały procesy uniezależniania się od Moskwy i odzyskiwania niepodległości przez państwa bloku wschodniego, byłe republiki Związku Sowieckiego i socjalistycznej Jugosławii, a potem wzmacniały niepodległość młodych państw – np. państw bałtyckich i byłych republik jugosłowiańskich, takich jak Chorwacja i Słowenia. Papież wspierał procesy pokojowe w tej części świata. Europa Środkowa zgodna z wizją papieża Polaka to Europa, w której „rzetelny i uczciwy patriotyzm", umiłowanie własnego narodu, kultury i tożsamości, nie stoi w sprzeczności z pokojową koegzystencją i współpracą z przedstawicielami innych narodów, kultur i wyznań religijnych.

Nawiązania do św. Jana Pawła II pojawiły się także w innych wystąpieniach. Słoweński dyplomata Igor Senčar podkreślił, że bez działań Ojca Świętego nie byłoby solidarności najpierw jako związku zawodowego, solidarności poszczególnych społeczeństw, a ostatecznie solidarności między poszczególnymi narodami, której finałem była integracja wielu państw Europy Środkowej z Unią Europejską.

W wielu przemówieniach pojawiał się motyw Polski – w kontekście historycznym, ale przede wszystkim zmian w geopolityce, które stawiają nasz kraj w centrum uwagi. W oczach ekspertów z innych państw Europy Środkowej Polska jest postrzegana jako strategiczny obszar, państwo z największym potencjałem, zwornik regionu. To nasza szansa, ale i odpowiedzialność.

W WIELU PRZEMÓWIENIACH POJAWIAŁ SIĘ MOTYW POLSKI – W KONTEKŚCIE HISTORYCZNYM, ALE PRZEDE WSZYSTKIM ZMIAN W GEOPOLITYCE, KTÓRE STAWIAJĄ NASZ KRAJ W CENTRUM UWAGI.

eprasa.pl 54376c0a4f

KULTURA

Czytaj też:

Kobieta pod presją 58
Różnorodność ostrzeżeń, różnorodność obrazów 60

– Życzyłbym sobie, żeby sztuczna inteligencja pozbyła się bylejakości i nijakości w muzyce. Obecnie wielu wykonawców nie różni się niczym od siebie. Utwory stworzone przez SI mają więcej charakteru niż to, co słyszę w głównym nurcie. Będzie jak w pandemii – kto sobie poradzi z rozwojem sztucznej inteligencji, ten przetrwa na rynku – mówi **Gniewomir Tomczyk**, perkusista, kompozytor, pedagog, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Żyjemy w czasach TOTALNEJ ŚCIEMY

Fot. archiwum Gniewomira Tomczyka

Płyta to pięcioczęściowa suita **inspirowana obrazami polskiego malarza Józefa Tomczyka**. Tytuły płócien, będące jednocześnie nazwami poszczególnych kompozycji, to: „Initium" (początek), „Fons" (źródło), „Intra" (wnętrze), „Vestigum" (ślad) oraz finałowa „Alio" (gdzieś, dokądś). Rozbudowany skład jazzowy, wzbogacony o instrumenty orkiestrowe (smyczkowe, dęte, perkusyjne) oraz elektronikę, poszerza brzmienie utworów, wpływając na ich różnorodność pod względem barwy, kolorystyki, przekazu i ekspresji.

– Wszyscy nagrywają coraz krótsze utwory, a Ty tworzysz suity. Po co?

– Nie ma konkretnego powodu. I tutaj możemy skończyć wywiad [śmiech]. Chociaż możemy jeszcze pogadać o sztucznej inteligencji w muzyce.

– To przejdźmy do Twojej najnowszej płyty.

– „Perpetus" to efekt bardzo długich lat pracy i przygotowań. Konsumowałem bardzo dużo muzycznych treści. Mój album to jest zaproszenie do mojego dzieciństwa, rodzinnego domu. Tata słuchał bardzo dużo jazzu, a mama muzyki klasycznej. Moi rodzice są malarzami, więc kultura we mnie buzowała i się kotłowała. Zawsze marzyłem, żeby rozbudować swoje kompozycje. Chciałem poczarować innymi instrumentami niż perkusja. W tym przypadku przydała się moja edukacja klasyczna, kiedy uczyłem się gry na różnych instrumentach, np. na ksylofonie czy marimbie.

– Na czym grasz?

– Jestem perkusistą. Gram na instrumentach klawiszowych wyłącznie dla siebie. Jeżeli coś komponuję, to melodie powstają na klawiszach. Jestem wykształconym muzykiem klasycznym. Gram też na różnych orkiestrowych instrumentach, na tzw. membranofonach, czyli na instrumentach, które mają membrany – np. kotły czy werble – i idiofonach, czyli ksylofon, marimba.

– Jak zmieniła się rola perkusji w muzyce rozrywkowej?

– Ona się nieustannie zmienia. Pisałem o tym pracę licencjacką i magisterską na studiach. Mam wrażenie, że perkusja na żywo przechodzi absolutny renesans. Natomiast w studiu jest coraz więcej wtyczek, które imitują grę żywej perkusji, która brzmi jak na koncercie.

– Czy osoba, która w wolnych chwilach gra np. na perkusji, w obliczu współczesnej technologii może wejść do studia i bez problemu nagrać partię bębnów?

– Może, zdecydowanie. Zapraszam do mojego studia w Warszawie, na pewno w tym pomogę.

– Czyli marketing masz w małym palcu.

– Tak trzeba. Uczę też grać na perkusji. Mam uczniów w każdym wieku i na każdym etapie nauki.

– Z kim obecnie współpracujesz?

– Obecnie skupiam się na karierze solowej. Dużo gram w studiu dla wielu artystów. Niedawno skończyłem trasę z Mariką z projektem Beksiński Live, podczas którego graliśmy we wszystkich dużych halach w Polsce, takich jak Hala Stulecia czy Atlas Arena, i byli tam fantastyczni goście. Do obrazów Beksińskiego, które były animowane, dobrano odpowiednie instrumenty smyczkowe. Było też dużo drum and bassu. Bardzo się cieszyłem, że mogłem brać udział w tym projekcie. Gośćmi specjalnymi byli m.in. Kasia Nosowska, Natalia Szroeder, Fisz czy O.S.T.R.

– W jakim gatunku muzycznym się specjalizujesz?

– Jestem różnorodny.

W LATACH LICEALNYCH BYŁEM JAZZOWYM ORTODOKSEM

– Kojarzysz mi się z elektronicznymi brzmieniami.

– Coś w tym jest. W latach licealnych byłem jazzowym ortodoksem. Z biegiem lat otwierałem się na różne stylistyki muzyczne. Teraz fascynuje mnie odtworzenie brzmienia ze studia na scenie. Kiedyś, kiedy istniały wyłącznie instrumenty akustyczne, nie było z tym problemu. Teraz, gdy mamy produkcję muzyczną na bardzo wysokim poziomie, żeby utwór ze studia zabrzmiał tak samo na koncercie, to gramy z podkładami i samplerami, które ułatwiają pracę. Łączy się perkusję akustyczną z elementami elektronicznymi. Mówimy wtedy o zestawie hybrydowym. Natomiast obecnie bardzo wielu perkusistów wraca do grania akustycznego.

– Wyznajesz zasadę: „mniej znaczy więcej"?

– Zdecydowanie tak. W wielu piosenkach nie można kombinować.

– Dlaczego suity?

– W moim sercu gra muzyka klasyczna, więc mogę z nią zestawić moje suit. Wychowałem się w klasycznych szkołach i całe dzieciństwo spędziłem przy dźwiękach orkiestry. Bycie jako młody chłopak na jej próbach było dla mnie olbrzymim wydarzeniem. Na mojej płycie usłyszysz jazz z elementami klasyki. To połączenie ilustruje moją wrażliwość, chciałem ją spuentować na „Perpetus". Paradoksalnie perkusja na mojej najnowszej płycie nie gra głównej roli, co mnie bardzo cieszy. W trakcie nagrań byłem absolutnie skupiony

eprasa.pl 54376c0a4f

na orkiestracji i aranżowaniu melodii. Chciałem, żeby album był najbardziej melodyjny. Jeżeli chcieliby Państwo zobaczyć próbkę moich umiejętności, to zapraszam na mój kanał na YouTubie. Tam będziecie mogli sprawdzić moje występy na żywo.

– Czy Twoim zdaniem sztuczna inteligencja wykosi wszystkich muzyków?

– Na pewno dużo namiesza w muzyce pop. Tam byłoby możliwe stworzenie gwiazdy wykreowanej w stu procentach za pośrednictwem sztucznej inteligencji. W mojej działalności w projekcie „Futuropolis" wykorzystuję zdobycze SI. „Futuropolis" to koncert z dziewięcioma opowiadaniami zainspirowanymi twórczością Stanisława Lema w formie słuchowiska. W trakcie gry jestem podłączony do różnych wtyczek napędzanych przez algorytmy stworzone przez sztuczną inteligencję, które reagują w czasie rzeczywistym. W tle widzowie mogą zwrócić uwagę na obrazy i animacje, również stworzone przez SI. Twarz wykreowana przez nią wita się i rozmawia z widzami koncertu. Mam też przygotowany scenariusz, gdybym miał problem z dostępem do internetu w trakcie koncertu, i wiele wtyczek wykorzystywanych w trakcie występu mam już wcześniej nagranych. Przezorny zawsze ubezpieczony. W trakcie gry komentuję moje ruchy, gram z pomocą partnera elektronicznego, który podpowiada mi różne dźwięki, dzięki czemu mogę improwizować.

– Czyli to wszystko mogę zobaczyć u Ciebie na YouTubie?

– Zgadza się. Tam też można zobaczyć debaty eksperckie, gdyż takie też organizuję. Mówimy w nich o rozwoju sztucznej inteligencji w muzyce i nie tylko. Projekt „Futuropolis" jest zdecydowanie szerszy niż sam koncert, o którym wcześniej wspominałem.

– Jest ryzyko, że maszyna zawładnie muzykiem?

– Nie. Zdecydowanie nie. Wszystko mam pod kontrolą.

– W jakim stopniu sztuczna inteligencja może uzupełnić braki i zniwelować złe zjawiska w muzyce?

– Są takie twory muzyczne, które są stworzone od A do Z przez SI, i mają milionowe liczby odsłuchów. Jeśli ktoś o tym nie wie, to się nie zorientuje, że tekst, muzyka i wykonanie jest stworzone w stu procentach przez sztuczną inteligencję. Życzyłbym sobie, żeby sztuczna inteligencja pozbyła się bylejakości i nijakości w muzyce. Obecnie wielu wykonawców nie różni się niczym od siebie. Utwory stworzone przez SI mają więcej charakteru niż to, co słyszę w głównym nurcie. Będzie jak w pandemii – kto sobie poradzi z rozwojem sztucznej inteligencji, ten przetrwa na rynku. Podsumowując, traktujmy rozwój SI jako kolejne wyzwanie dla nas, muzyków, żebyśmy byli bardziej wyraziści i tworzyli zdecydowanie ciekawsze rzeczy niż to, co jest teraz. A czy sztuczna inteligencja zabierze nam pracę? W moim przypadku mam jej więcej, ale najpierw należy nauczyć się z niej korzystać i dzięki czemu szybciej pracować. Obecnie mogę tworzyć rzeczy, o których wcześniej nie miałem zielonego pojęcia, a przy pomocy SI robię je bez problemu.

MUSIMY SZUKAĆ PRAWDZIWEJ WARTOŚCI W MUZYCE.

– Czyli można powiedzieć, że sztuczna inteligencja jest nowym instrumentem?

– Jest to bardzo ciekawy temat do dyskusji. Sprecyzowałbym, że jest to kolejne narzędzie do tworzenia muzyki. A wiadomo, że rozwój muzyki wiązał się wcześniej z rozwojem instrumentów. Jednak pamiętajmy o tym, że w kontekście SI, to my jesteśmy jeźdźcem na tym koniu, i niech ten stan rzeczy taki pozostanie.

– Czyli muzycy mogą spać spokojnie?

– W pewnych aspektach tak. To tak, jak kiedyś obawiano się wprowadzenia samochodów na rynek. Warto znać zdrowy umiar i złoty środek.

– Tylko pytanie, czy jeżeli wpiszemy prompt na tekst i muzykę do SI, to wówczas my jesteśmy autorami tego utworu?

– Tutaj musimy bardzo uważać. Musimy szukać prawdziwej wartości. Bo wiemy, że żyjemy w czasach totalnej ściemy. Jeżeli zrobię coś takiego, co zawarłeś w pytaniu, to nadużyciem byłoby nazwanie się autorem takiej piosenki. Przy tworzeniu ważne jest dla mnie to, żebym umiał zagrać utwór na próbie. Muszę wiedzieć, jak wygląda forma muzyczna. Dlatego ważne jest, gdzie jest balans pomiędzy pomocą a robieniem za nas roboty za pośrednictwem sztucznej inteligencji.

GNIEWOMIR TOMCZYK

Perkusista, twórca projektów, kompozytor, pedagog. Absolwent Akademii Muzycznej w Poznaniu. Jego autorskie projekty to: „Perpetus", „Futuropolis", „Gniewomir Tomczyk / Project", „The Funky Bump!" czy „GESO GATO". Jego debiutancki album „Event Horizon" został wyróżniony przez „Magazyn Perkusista" jako jedna ze „100 najważniejszych płyt dla perkusistów" i nominowany w Jazz Forum Jazz Top 2018. Występował m.in. na Jazz Juniors, Jazz w Ruinach, Witamina Jazz (z gościnnym udziałem Kayah) oraz jako support przed Jojo Mayer / Nerve. Od 2024 roku pełni funkcję wiceprezesa Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego.

eprasa.pl 54376c0a4f

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

JUSTIN BIEBER – SWAG II
WYD. DEF JAM RECORDINGS

Ponad dwie godziny muzyki od Justina Biebera brzmi irracjonalnie, tym bardziej mnie to ciekawi. Przy takiej czasówce ciężko o bardzo równą płytę. Są utwory, które wpadają w ucho, jak „Speed demon", ale są też kawałki, które przełączałem po pierwszej nutce. W życiu tak bywa, że przerost formy nad treścią rzadko kiedy jest przyswajalny przez odbiorców. Lirycznie? Proszę Was, to jest pop. Nie wymagam tekstów na miarę Pulitzera, mają zgrywać się z kompozycją i nie kaleczyć uszu. Chociaż zdecydowanie łatwiej jest napisać po angielsku każdą głupotę, bo naprawdę lepiej brzmi niż w wielu innych językach. „Swag II" jest jak witamina C – znacząco nie pomoże, ale też nie zaszkodzi.

VIN VINCI, EPIS DYM KNF, PHONO CO ZA BIT – AMIGOS
WYD. STEP RECORDS

Co tam słychać w ulicznym rapie? Chociaż wykonawcy woleliby, żeby zamienić przymiotnik „uliczny" na „motywujący". Sytuacja się nie zmieniła. Pod względem tekstów króluje tematyka chwalenia się wszystkim dookoła, a poza tym mamy do czynienia z budującymi słowami w stylu – będzie dobrze i olewaj wszystko, jak leci. Bity brzmią zdecydowanie lepiej, dlatego niektórych utworów słucha się całkiem znośnie. Jeżeli lubisz taką estetykę, to będziesz zadowolony. Jeżeli nie, to szkoda Twojego czasu.

JADWIGA ZARZYCKA – PERSONEL
WYD. WŁASNE

Smutne teksty przy akompaniamencie wesołych melodii. Skąd ja to znam? A z polskiej muzyki. Jadwiga ma charakterystyczną barwę głosu, która mocno polaryzuje. Albo ją polubisz, albo będziesz mocno zirytowany. Styl śpiewania bardzo mocno przypomina Marcelinę. Nigdy nie byłem fanem mimotycznego śpiewania od niechcenia. Nie moja wrażliwość, nie moja estetyka. Muzycznie? Bardzo doceniam minimalizm, który nie jest moja bajką. Tekstowo? Nie lubię dołować się muzyką, a nawet jeśli, to niech w tym będą wyraziste emocje. No cóż... nie mój cyrk, nie moje małpy.

PALMOWSKI – RECEPTA NA SZCZĘŚCIE
WYD. WŁASNE

Taki rap to ja lubię! Pozytywny, leniwy, pełny słońca. Kuba Knap może być zadowolony, ponieważ ma swoich naśladowców. W moim przypadku jest to komplement, gdyż brakuje mi takich raperów na rynku. W Polsce mamy dominantę spiętych gości, którzy bardziej dbają o swój wizerunek niż o teksty. Celebrytki mogłyby się od naszych polskich dukaczy nauczyć bardzo dużo. A Palmowski? Jest ponad tym. Szybko, wolno, elektrycznie. Uczta dla moich uszu. Mogę wybierać i każdy wybór będzie bardzo dobry. Gość przed trzydziestką, jak mówi o sobie Palmowski, wie, czego chce i co chce przekazać, a ja to doceniam. I to jest nomen omen „Recepta" na dobrą recenzję. Warto posłuchać! Polecam!

eprasa.pl 54376c0a4f

FILM

Kobieta pod presją

„Zawsze przychodzi noc” Benjamina Carona należy do **szlachetnego nurtu** kina społecznego realizmu. Nurt ten, wywodzący się jeszcze z tradycji chaplinowskiego trampa i włoskiego neorealizmu, żarliwie kultywowany przez Brytyjczyków (m.in. Kena Loacha i Mike’a Leigha), obecny do dzisiaj (choćby w obsypanym Oscarami południowokoreańskim „Parasite”), bierze w obronę tych, którzy na co dzień są niewidzialni.

Sebastian Pytel

JEST TO TYP FILMU, KTÓREGO POWODZENIE W DUŻEJ MIERZE ZALEŻY OD JAKOŚCI GŁÓWNEJ ROLI. VANESSA KIRBY TO TRUDNE I ODPOWIEDZIALNE ZADANIE WYPEŁNIŁA Z NAWIĄZKĄ.

Fot. kadr z filmu

Słynni „Złodzieje rowerów” Vittoria De Siki, „Światła wielkiego miasta” Charliego Chaplina czy „Kes” Kena Loacha kierowały snop światła na biednych pracujących – żyjących w ciągłym strachu o jutro, wiążących koniec z końcem siłą woli najdrobniejszych zębatkach kruszonych w ruchu wielkiej machiny kapitalizmu. Do tego często, jak u De Siki, ludzi poddanych ciągłemu testowi moralności, starających się sprostać wyzwaniu utrzymania na powierzchni nie tylko materialnie, lecz także moralnie.

Film Carona, podobnie jak „Good Time” braci Safdie, do którego jest najczęściej porównywany, fragmenty społecznego realizmu wpisuje w rozedrgany thriller akcji. Lynette (Vanessa Kirby) poznajemy, gdy jej sytuacja finansowo-mieszkaniowa stoi na ostrzu noża. Aby wraz z matką (Jennifer Jason Leigh) zachować prawo do opieki nad bratem z zespołem Downa, musi sprzedać rozpadający się dom i znaleźć inne lokum. Problemem jest zaliczka na nową nieruchomość, które jej rodzicielka w ostatniej chwili przepuszcza u dealera samochodów. Przyparta do muru Lynette rusza więc w miasto, by jakimś cudem zdobyć wymaganą kwotę. Ma na to jedną noc. W trakcie tej krótkiej podróży zagojone rany ponownie się otworzą, stare grzechy rzucą długie cienie, a droga do odkupienia będzie wyjątkowo wyboista. Czas – ten teraźniejszy i ten przeszły – będzie tu zresztą głównym wrogiem Lynette: pod jego presją kobieta będzie musiała jeszcze raz spojrzeć w oczy własnym demonom i odwiedzić strony, w które przyrzekła sobie nie wracać.

„Zawsze przychodzi noc” to ten typ filmu, którego powodzenie w dużej mierze zależy od jakości głównej roli. Znana z pierwszych sezonów „The Crown” Vanessa Kirby to trudne i odpowiedzialne zadanie wypełniła z nawiązką, już od pierwszego ujęcia skupiając na sobie całą uwagę. Jej lekko przygaszone, ale pełne determinacji spojrzenie zdradza zarówno życiowe ciężary odgrywanej postaci, jak i silną wolę przetrwania, brak zgody na wywieszenie białej flagi. Patrząc na nią, bez mrugnięcia okiem można uwierzyć, że zrobi wszystko, by wyciągnąć się z bagna za uszy. Kirby najlepsza jest wtedy, gdy stara się hamować przechodzące przez ciało swojej bohaterki impulsy; zszargane nerwy, tłumione fizyczne odruchy, rodzące się w obliczu niemocy i poczucia niesprawiedliwości. Niemal słyszalny jest wtedy rozdarty, wewnętrzny krzyk kontrowany przez głos rozsądku, próby opanowania się i chęci wyjścia na prostą, z dala od przemocy.

Gdyby tylko Kirby pracowała na lepszym scenariuszu, mielibyśmy jeden z ciekawszych filmów roku. Niestety,

eprasa.pl 54376c0a4f

Vanessa Kirby

nierówny tekst Sary Conradt bardziej niż utwardzoną autostradę przypomina kamienistą nawierzchnię. Po mocnym otwarciu historia grzęźnie w czymś w rodzaju kruchego przymierza pomiędzy Lynette a jej kolegą z pracy Codym (bezbarwny Stephan James). W zamyśle to dość posępna diagnoza skazanej na porażkę współpracy dwóch jednostek, próbujących uciec spod topora darwinizmu społecznego. W praktyce: szarpana, zawiązana naprędce i nieporadnie poprowadzona relacja, która po bizarnych podejściach przekucia jej w rodzące się uczucie kończy na stosie szlachetnych, acz spalonych pomysłów. Nieudany jest także epizod z przyjacielem Quentina Tarantino Elim Rothem. Nie dość, że nie mówi nic nowego o przeszłości Lynette, to jeszcze powtarza fakty, które już znamy. Jakby reżyser chciał jeszcze bardziej podkręcić dramatyzm, jeszcze mocniej uderzyć w czułe struny i zyskać u widzów jeszcze trochę dodatkowych punktów. Szkoda tylko, że by osiągnąć swój cel, sięga po dość niewybredne środki, niemal osuwając się w wulgarność.

Jednak umieszczenie filmu Carona w pudełku z resztą netflixowych średniaków byłoby niesprawiedliwe, bo koniec końców brytyjski reżyser sięga pod fabularną podszewkę i znajdując miejsce na autorefleksję, dopuszcza do głosu inną perspektywę opowieści. Stąd końcowa rozmowa Lynette z matką, mimo wydawałoby się letniej temperatury, jest dość przejmująca – w całkiem błyskotliwy sposób sumują się w niej kawałki roztrzaskanego życiorysu: doznanych krzywd, odniesionych ran, niewypowiedzianych pretensji. Niepostrzeżenie wychodzi z niej temat przewodni całego filmu: gorzka prawda o tym, że najtrudniej zmienić się w oczach innych.

„Zawsze przychodzi noc" (Night Always Comes), reżyseria: Benjamin Caron, scenariusz: Sarah Conradt, obsada: Vanessa Kirby, Jennifer Jason Leigh, Zack Gottsagen, Stephan James, gatunek: dramat, thriller, produkcja: USA 2025, czas: 110 minut.

eprasa.pl 54376c0a4f

FILM

Różnorodność ostrzeżeń, różnorodność obrazów

Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl 54376c0a4f

Po raz dwunasty w Olsztynie odbył się WAMA Film Festival, największa i najważniejsza impreza filmowa w tym regionie Polski. Tegoroczna WAMA pokazywała filmy w rozmaity sposób wpisujące się w pojemny temat różnorodności. Olsztyńska publiczność zobaczyć mogła filmy konkursowe, pokazane w ramach Międzynarodowego Konkursu Koprodukcji Filmowych i Konkursu Filmów Krótkich, filmy młodych twórców pokazane w cyklu WAMA New Energy, a także produkcje osadzone w kontekście lokalnym pod szyldem „Kino Warmii i Mazur". Na kilka z nich warto szczególnie zwrócić uwagę i jeśli kiedyś trafi się okazja, obejrzeć je na dużym lub chociaż na małym ekranie.

Kadr z filmu „Fiume o morte!"

Fot. materiały prasowe

„FIUME O MORTE!" UJĄŁ MNIE POCZUCIEM HUMORU, GROTESKĄ, A JEDNOCZEŚNIE MÓWI O ZAGROŻENIACH WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA – POPULIZMIE, TĘSKNOCIE ZA SILNĄ RĘKĄ.

Oprócz wymienionych segmentów olsztyńska widownia wzięła udział w kilku pokazach specjalnych, w ramach których wyświetlono dwa dokumenty: „Poste restante" zmarłego niedawno Marcela Łozińskiego i „Potop. Postscriptum" Łukasza Czajki, przedstawiający kulisy produkcji znanego filmu Jerzego Hoffmana (będącego zresztą ambasadorem festiwalu), a także odrestaurowaną wersję „Amadeusza" Miloša Formana. Podczas tegorocznej edycji festiwalu udało mi się obejrzeć trzy koprodukcje, a każda z nich wydała mi się godna zapamiętania i zainteresowania nią naszych czytelników. Każda z nich mieści się w innym gatunku, wszystkie są od siebie odległe, jeśli chodzi o miejsce i czas akcji. I wszystkie są efektem współpracy twórców z wielu krajów.

Dwa oblicza dyktatury

I tak „Fiume o morte!" Igora Bezinovicia to koprodukcja chorwacko-włosko-słoweńska, która na WAMA miała swoją polską premierę. Film wygrał wcześniej festiwal dokumentu w Rotterdamie, gdzie zobaczył go po raz pierwszy selekcjoner konkursu koprodukcji Piotr Czerkawski. – „Fiume o morte!" ujął mnie poczuciem humoru, groteską, a jednocześnie mówi o zagrożeniach współczesnego świata – populizmie, tęsknocie za silną ręką. To film-przestroga, ale nie moralizatorski, a raczej zabawny, inteligentny. Kojarzy mi się trochę z Radu Jude [współczesny reżyser i scenarzysta z Rumunii, często nagradzany na zachodnich festiwalach filmowych – przyp. red. K.K.], a z polskiego kina – z Markiem Piwowskim i jego „Rejsem" – opowiada Czerkawski.

To ostatnie skojarzenie może pomóc wyjaśnić specyfikę filmu Bezinovicia, wymykającą się prostemu przypisaniu do jednej konwencji. To równocześnie dokument, zdystansowana wobec samej siebie fabuła i „film w filmie", powstające w czasie rzeczywistym making-off na temat części fabularnej. O czym jest ta opowieść? Chorwacka Rijeka, miasto związane również z Włochami i przez mówiących własnym dialektem Włochów zamieszkiwane, miała w swej historii bardzo barwny i dramatyczny zarazem incydent, gdy na fali wstrząsów trawiących Bałkany po I wojnie światowej rządy w mieście przejął włoski poeta, protofaszysta i awanturnik Gabriele Michele Raffaele Ugo d'Annunzio. Szalony epizod nie trwał długo, do d'Annunzia nie chciały przyznawać się nawet Włochy, miasto osuwało się zaś w szaleństwo, którego symbolem została nigdy nie wcielona w życie konstytucja,

eprasa.pl 54376c0a4f

będąca de facto poematem szaleńca. Po latach mieszkańcy, którzy biorą udział w powstaniu filmu, najpierw nie za bardzo chcą przyznawać się do pamięci, stopniowo ulegają jednak magii tego zarazem autorytarnego i romantycznego szaleństwa, które przytrafić mogło się chyba tylko w tym miejscu i czasie. Bo przecież artystyczne rytuały wplecione w politykę miały swą moc przyciągania. Na tyle dużą, że zafascynowany postacią d'Annunzia Benito Mussolini przejął od poety dużą część swojej ideologii i będących jej wizualną identyfikacją obyczajów. Bardzo ważne jest jednak to, że film unika pokusy taniej dydaktyki i moralizatorstwa. Owszem, humoru jest tu mnóstwo, farsa przybiera czasami rozmiary wręcz godne Monty Pythona (inscenizacja przemowy balkonowej z pełnym patosem, lecz we współczesnym otoczeniu i bez słuchających tłumów przywodzi na myśl wiec pana Hiltera z jednego z odcinków „Latającego Cyrku"), ale przez wszystko przebija narastająca fascynacja aktorów i statystów, rekrutowanych spośród przechodniów, mieszkańców dzisiejszej Rijeki.

Kafka w łagrze

Kolejny film, który wcześniej mogła obejrzeć już publiczność wrocławskich „Nowych Horyzontów" to „Dwaj prokuratorzy" Siergieja Łoźnicy. W dość oszczędną opowieść, umiejscowioną w realiach wielkiej czystki 1937 roku, zaangażowanych było aż siedem państw (Francja, Niemcy, Holandia, Łotwa, Rumunia, Litwa, Ukraina). Dla polskiego widza znającego historię film nie będzie zaskakujący, jednak dla wielu oglądających niedzielących naszych doświadczeń może być bardzo cenną lekcją. Łoźnica pokazuje nam historię młodego, naiwnego, a zarazem przyzwoitego prokuratora, który wyrusza do Moskwy, by samemu prokuratorowi generalnemu Wyszyńskiemu przekazać informację o nadużyciach, jakich dopuszcza się NKWD prześladujące starych, partyjnych towarzyszy. Też nierozumiejących, że padają ofiarą systemu, nie jego wypaczenia. Mechanizm ten znakomicie pokazała wydana u nas kilka lat temu książka „Dom władzy" Yuriego Slezkine'a. Opowieść Łoźnicy jest ciężka, klaustrofobiczna, przytłaczająca i pełna kafkowskiej nieuchronności. Piotr Czerkawski zwraca uwagę na ciekawą drogę samego reżysera. – Siergiej Łoźnica to filmowiec jedyny w swoim rodzaju. Każdym filmem potwierdza status artysty odważnego, demaskującego mechanizmy autorytarne w świecie sowieckim i postsowieckim. Analizuje mentalność, która tam pokutuje. To reżyser poważniejszy – operuje mniej groteską, bardziej powagą. Przestrzegał od dawna, ale go nie słuchano. Teraz jego filmy są jeszcze bardziej aktualne przez wojnę w Ukrainie. Ma też ciekawy życiorys – przez lata uważał się za człowieka poradzieckiego, nie deklarował narodowości. Dopiero po inwazji zaczął mówić o sobie jako o Ukraińcu – opowiada Czerkawski. Największe uznanie publiczności zdobył jednak inny film. „Pierce" to koprodukcja z udziałem Polski, Singapuru i Tajwanu. – To historia nastoletniego chłopaka żyjącego w cieniu brata. Toksyczna relacja rozsadza rodzinę – brak miłości, czułości, tolerancji. Film jest mroczny, ale subtelny. Pokazuje, jak codzienne zaniedbania kumulują się i prowadzą do tragedii – mówi selekcjoner konkursu koprodukcji. Dodajmy, że krótki fragment, pokazywany podczas ceremonii zamknięcia festiwalu, ukazując pozornie zwykłą sytuację rodzinnego spotkania, epatował gęstością i nastrojem, przywodzącym na myśl wręcz horror – i taki też jest to obraz.

SIERGIEJ ŁOŹNICA („DWAJ PROKURATORZY") TO FILMOWIEC JEDYNY W SWOIM RODZAJU. KAŻDYM FILMEM POTWIERDZA STATUS ARTYSTY ODWAŻNEGO, DEMASKUJĄCEGO MECHANIZMY AUTORYTARNE W ŚWIECIE SOWIECKIM I POSTSOWIECKIM.

Aktorskie traumy szkolne

Kilka lat temu przez polskie media tradycyjne i społecznościowe przetoczyła się fala dyskusji na temat nadużyć, jakich w stosunku do studentów dopuszczali się wykładowcy w wyższych szkołach teatralnych. W 2018 roku głośnym echem odbił się reportaż „Superwizjera" TVN o nadużyciach w krakowskiej AST (dawniej PWST). Studenci opowiadali o upokarzaniu przez niektórych wykładowców, przemocy psychicznej, seksistowskich komentarzach i przekraczaniu granic w ramach zajęć. Padały przykłady zmuszania do scen nagości czy prowokacyjnych sytuacji, które miały służyć „przełamaniu wstydu", ale w rzeczywistości były dla studentów traumatyzujące. Po nagłośnieniu przypadku krakowskiego pojawiło się wiele świadectw pokazujących, że mamy do czynienia z dużo szerszym zjawiskiem. Jego artystycznym echem jest pokazana w ramach cyklu WAMA New Energy „Utrata równowagi" w reżyserii Korka Bojanowskiego określana czasem jako polski film z nurtu „Me too". „Utrata równowagi" to historia Mai (Nel Kaczmarek), studentki, która po kolejnych rozczarowaniach planuje porzucić swe marzenia o aktorstwie. Na razie kończy jednak rok i przygotowuje z kolegami przedstawienie

eprasa.pl 54376c0a4f

dyplomowe. W ich świat dość nagle wkracza doświadczony pedagog z przerwą w zawodowym życiorysie spowodowaną samobójstwem podopiecznej. Jacek (Tomasz Schuchardt), pozornie luźny i otwarty, wciąga całą grupę w niszczącą psychicznie intrygę, która prowadzi do kolejnych załamań i rozerwania przyjacielskich więzi. Ciekawym zabiegiem jest zasugerowanie erotycznego charakteru niektórych działań opiekuna, nadużycia psychiczne natomiast twórca pokazuje wprost. To mocny i bardzo potrzebny film. Niestety, życie pokazało, że trudno liczyć na refleksję sporej części środowiska. – Wszyscy teraz nagle zajmują się przemocą w teatrze. Jakieś dziewczyny niedawno poprosiły mnie, bym udzielił głosu. Czy wyście poszaleli?! Będziecie robić ogólnopolską akcję „przemoc w teatrze"?! O co chodzi? Komu chcecie za przeproszeniem dopieprzyć, robiąc ogólnopolskie kampanie na ten temat? Przecież to kompletnie chore. Chcecie uczyć artystów, jak mają się zachowywać? Jak uczestniczyć? Bo co, przepraszam?! – oburzał się trzy lata temu Andrzej Chyra podczas swojego wystąpienia na Kampus Polska Przyszłości.

Gnojówka i brak pytań

Ostatni film, na który chciałbym zwrócić uwagę czytelników „TS", to dramat społeczny Grzegorza Dębowskiego „Tyle co nic" pokazany w ramach sekcji „Kino Warmii i Mazur". „Tyle co nic" to bardzo przygnębiający obraz odchodzenia i upadku polskiej wsi. Punktem wyjścia jest tu spontaniczny protest zorganizowany przez rolnika Jarka Martyniuka (Artur Paczesny), wylanie gnojówki na podwórku sąsiada – posła, którego głosowanie mieszkańcy wsi uznają za zdradę. Gdy chłopi rozjeżdżają się do swoich domów i spraw, kamera koncentruje się na potężnej stercie nieczystości, z których wystaje ludzka ręka. To mogłoby być inteligentne i zaskakujące przejście w stronę thrillera, jednak nic takiego się nie dzieje. Ot, jeden z przyjaciół głównego bohatera skończył tak beznadziejnie, jak żył. I jak na raty kończą tam właściwie wszyscy. Nie jest to jednak pornografia nędzy w stylu wczesnego kina Wojciecha Smarzowskiego czy bośniackiego reżysera Danisa Tanovicia. To po prostu dość smutna zapowiedź nieuchronnego końca, schyłek czasu, gdy jedni – jak Jarek – jeszcze się szarpią, inni zdają się niczego nie dostrzegać i idą do przodu siłą bezwładu mocno podlewaną wódką, a jeszcze inni – jak cwany poseł – chcą na tym wszystkim jeszcze zarobić. Jednak nawet poseł ostatecznie nie może być uznany za postać jednoznacznie negatywną, choć początkowo tak jest malowany. Tu zresztą widzę pewien mankament filmu: umieszczony w konkretnym momencie – jest rok 2023, a bohater mówi do telewizora, że za rok będzie inny rząd, co może odebrać „Tyle co nic" uniwersalność, zwłaszcza gdy połączymy to z krytycznym obrazem proboszcza. Na szczęście jednak Dębowski idzie w inną stronę. Jak wspomniałem, nie jest przy tym Smarzowskim, na swoich bohaterów i całą wieś patrzy z życzliwością i narastającym smutkiem. I tylko brakuje tak naprawdę jednego pytania: dlaczego właściwie dzieje się to, co się dzieje? Bo ani nikt o to nie pyta, ani też nikt nie odpowiada. Ot, dzieci się wyprowadzą, domy zawalą, a całą wieś wykupi poseł lub ktoś jeszcze od niego bogatszy. Być może dlatego na premierze filmu gwiazdą spoza obsady był pozujący na czerwonym dywanie Michał Kołodziejczak, wtedy nie tylko lider Agrounii, ale też wiceminister rolnictwa, który dosłownie dzień wcześniej nazywał protestujących w Warszawie rolników prowokatorami. Film spotkał się z dobrym odbiorem krytyki, dostał też kilka nagród na festiwalach. Może to dla części potencjalnych widzów brzmieć jak dzwonek ostrzegawczy, jednak myślę, że warto „Tyle co nic" zobaczyć, nawet jeśli pewnych aspektów pokazanego problemu w nim nie znajdziemy. Na festiwalu w Olsztynie film był jak najbardziej na miejscu, ponieważ wszystkie zdjęcia powstały w promieniu 20 km od tego miasta, a produkcję wsparł Warmińsko-Mazurski Fundusz Filmowy.

„TYLE CO NIC" TO BARDZO PRZYGNĘBIAJĄCY OBRAZ ODCHODZENIA I UPADKU POLSKIEJ WSI. PUNKTEM WYJŚCIA JEST TU SPONTANICZNY PROTEST ZORGANIZOWANY PRZEZ ROLNIKA JARKA MARTYNIUKA, WYLANIE GNOJÓWKI NA PODWÓRKU SĄSIADA – POSŁA, KTÓREGO GŁOSOWANIE MIESZKAŃCY WSI UZNAJĄ ZA ZDRADĘ.

Krótko

Z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć, że Grand Prix Festiwalu Krótkich Filmów zdobił film „Stymulanty i empatogeny", gombrowiczowska w duchu satyra na współczesne, goniące wielkomiejskie trendy i polityczną hiperpoprawność aspirującego drobnomieszczaństwa w reżyserii Mateusza Pacewicza. Do tematu krótszych metraży będzie jeszcze okazja wrócić, dlatego tym razem poświęcam im mniej miejsca, skupiając się na dłuższych produkcjach. Nie znaczy to jednak, że w Olsztynie nie pojawiły się ciekawe propozycje z tego nurtu. O części z nich pisałem przy okazji festiwalu w Radomiu, do innych wrócę, gdy przyjdzie na to pora.

eprasa.pl 54376c0a4f

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Panie Tomku, myśli Pan, że jesteśmy bezpieczni?

Tomek: – Ja tak, mam gaz i kijek. W razie czego użyję jego ostrego końca do walki [śmiech].

– Ale dronów Pan nimi nie zneutralizuje.

– Do obrony przed dronami, czyli nisko lecącymi celami powietrznymi, mają posłużyć nam świetne przeciwlotnicze systemy. To Pilica, Narew i Wisła. Dwa lata temu sfotografowałem zestaw Pilicy podczas pokazu w Warszawie. Ten system, w odróżnieniu od dwóch pozostałych, działa na bardzo krótkich dystansach, do 6,5 km.

– I jest to nasz polski system.

– Tak. Posiada m.in. radar wyprodukowany przez warszawski RAWAR, natomiast podwozie wyprodukował Jelcz. Obecnie ten system jest modernizowany, więc myślę, że posłuży nam jeszcze przez wiele lat.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 54376c0a4f

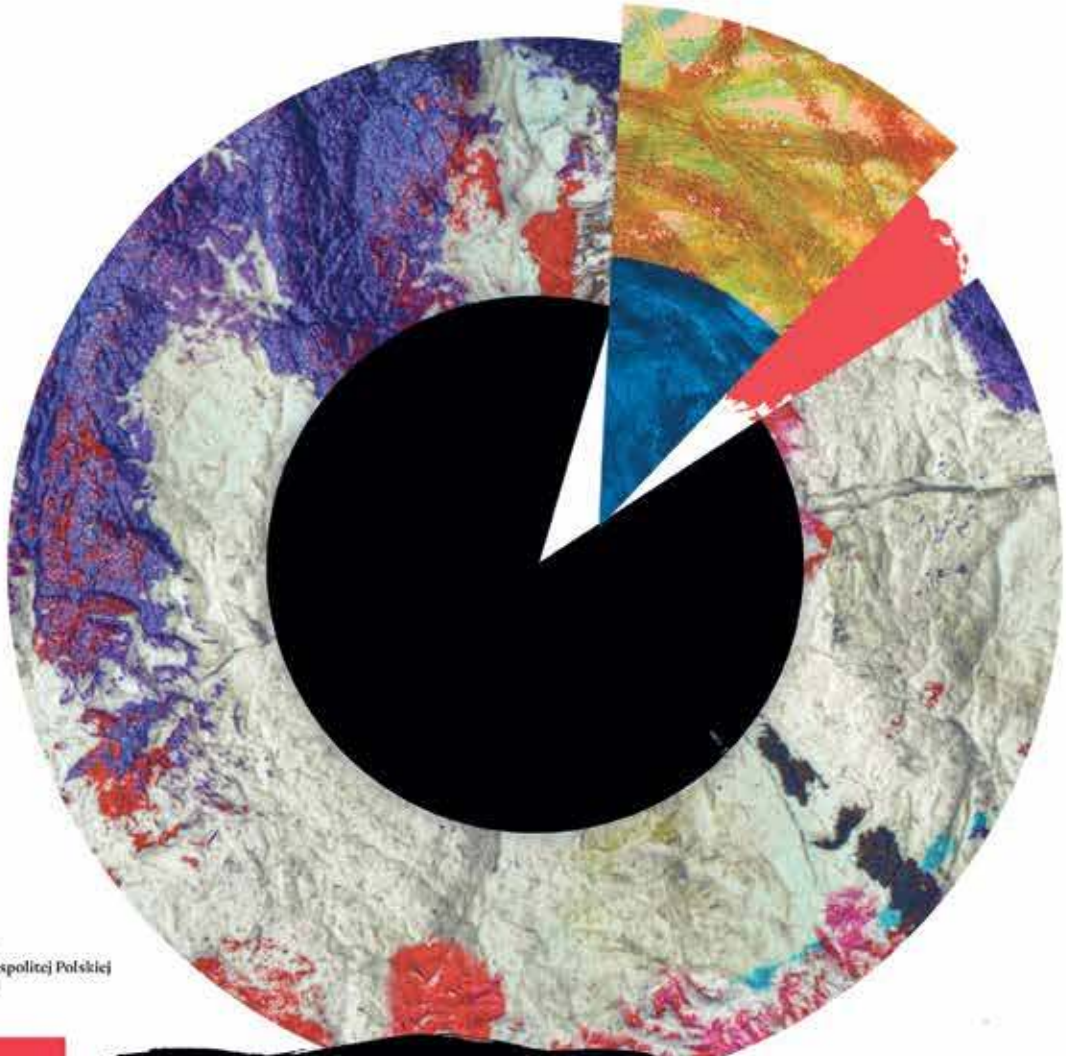

RP
Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Karola Nawrockiego

17 FESTIWAL FILMOWY NNW

NNW
GDYNIA
2–5.10.2025
WSTĘP WOLNY

ORGANIZATORZY

SCENA KULTURY · GDYNIA MIASTO FILMU · unesco

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny

WSPÓŁFINANSOWANIE

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

PARTNERZY INSTYTUCJONALNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ · Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNERZY

GRUPA CEDROB · FUNDACJA ROSZTOWNICTWA

PATRONI MEDIALNI

Radio Wnet · SIECI · SUPER · Rzeczy · idziemy · GAZETA POLSKA · Grupa Medialna OTV · BIULETYN IPN · wPolityce.pl · Czas · taxowo · GOŚĆ · niezależna.pl · tysol.pl · DZIENNIK BAŁTYCKI.PL · wm.pl wolne media

eprasa.pl 54376c0a4f

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Solidarność Emerytów i Rencistów świętowała 45-lecie Związku

17 września zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Maciej Kłosiński uczestniczył w uroczystym kongresie Sekretariatu Emerytów i Rencistów z okazji 45-lecia powstania NSZZ „Solidarność”. Wspólne świętowanie w Spale poprzedziła Msza Święta w kościele pw. Matki Bożej Królowej Korony Polskiej.

Związkowcy omówili tego dnia bieżące sprawy związkowe dotyczące zagrożeń, które niesie ze sobą polityka Zielonego Ładu, a szczególnie system ETS2, która ma zacząć obowiązywać od 2027 roku i która pociągnie za sobą wzrosty cen węgla, benzyny, ropy i gazu. Poruszono także temat wprowadzenia aplikacji związkowej i pojawienia się legitymacji związkowej w aplikacji mObywatel.

Fot. M. Żegliński

Spotkanie było także okazją do wręczenia odznaczeń: Medali 45-lecia NSZZ „Solidarność” oraz honorowych odznak „Semper Fidelis”, jak również okolicznościowej pamiątki z okazji kolejnego jubileuszu Związku. Prezent z okazji 45-lecia „S” wraz z wizerunkami św. Jana Pawła II i bł. ks. Jerzego Popiełuszki Maciej Kłosiński złożył na ręce przewodniczącego Rady Krajowego Sekretariatu Emerytów i Rencistów NSZZ „S” Wiktora Kubisiaka. Uroczysty kongres uświetnił koncert Pawła Piekarczyka.

33. BIEG SOLIDARNOŚCI

Już po raz 33. spod wrocławskiego Hotelu Wodnik wystartował Bieg Solidarności. Największa związkowa impreza sportowa na Dolnym Śląsku została zorganizowana przez Stowarzyszenie Kultury Zdrowotnej i Sportu NSZZ „Solidarność”. W tym roku w zawodach wzięło udział 775 osób. Przedszkolaki rywalizowały na trasie 500 metrów, dzieci w wieku szkolnym na dystansie 1 km, a dorośli musieli przebiec 5,2 km. Wśród kobiet zwyciężyła Magdalena Patas, natomiast w kategorii mężczyzn najlepszy czas osiągnął Adam Putyra.

Każdy uczestnik otrzymał pamiątkowy medal, a po loterii cztery osoby wróciły do domu z nagrodą w postaci sprzętu AGD. Gratulacje zwycięzcom składał przewodniczący dolnośląskiej „S” Kazimierz Kimso, wraz ze sponsorami oraz konsulem Węgier.

eprasa.pl 54376c0a4f

Fot. M. Żegliński

„Planujemy zorganizować alternatywne obchody Dnia Edukacji Narodowej, które najprawdopodobniej będą się odbywały pod Urzędem Rady Ministrów. Oczywiście ze swoją narracją – odmienną od ministerialnej”.

Waldemar Jakubowski, szef oświatowej Solidarności, Portal Samorządowy, 16 września br.

W ramach imprezy organizowany jest także Memoriał im. Andrzeja Kańskiego, komandora pierwszych biegów, zasłużonego działacza Solidarności. To kategoria związkowa, w której najlepsi okazali się w tym roku Anna Ficner-Zborowska oraz Jerzy Jagielski.

NAGRODA IM. JACKA RYBICKIEGO

Absolwenci studiów, którzy za przedmiot swoich badań obrali społeczną odpowiedzialność biznesu, prawa pracownicze i dbałość o godność pracy, mogą od teraz zostać uhonorowani Nagrodą im. Jacka Rybickiego. Fundatorem nowego wyróżnienia jest Kaszubsko-Pomorska Szkoła Wyższa w Wejherowie. 9 września w ramach finału pierwszej edycji Nagrodę otrzymał Mateusz Król za pracę licencjacką pt. „Zarządzanie konfliktami w środowisku pracy jako zjawisko społeczne – analiza stylów i technik rozwiązywania konfliktów w wybranym zakładzie produkcyjnym – studium przypadku”. Na uroczystości wręczenia wyróżnienia obecny był przewodniczący gdańskiej „S” Krzysztof Dośla, rektor uczelni prof. Marcin Pliński oraz rodzina zmarłego w ubiegłym roku Jacka Rybickiego, byłego przewodniczącego Zarządu Regionu Gdańskiego i wiceprzewodniczącego NSZZ „Solidarność”.

DOMS WYRÓŻNIONY

Należąca do NSZZ „Solidarność” spółka DOMS otrzymała wyróżnienie w ramach projektu „Pracownicy – najlepsza inwestycja dla firmy”, realizowanego przez Wojewódzki Urząd Pracy w Krakowie. Prezes firmy Marta Kiereś odebrała wyróżnienie „Lider zarządzania wiekiem w firmach” podczas konferencji odbywającej się w krakowskim Kinie „Kijów” z rąk prof. Jana Tadeusza Dudy. W projekcie brało udział 200 przedsiębiorstw, a spółka DOMS była jednym z 20 laureatów.

WIĘŹNIOWIE WRACAJĄ DO DOMÓW

Stany Zjednoczone zawarły porozumienie z Białorusią, w ramach którego Aleksander Łukaszenka uwolnił 52 więźniów z białoruskich aresztów. Wśród nich znalazło się 14 cudzoziemców, w tym trzech obywateli Polski (bez lidera polskiej mniejszości na Białorusi Andrzeja Poczobuta), a także działacze związkowi – lider Białoruskiego Kongresu Demokratycznych Związków Zawodowych Aliaksandr Jaraszuk i Henadz Fiadynich, przewodniczący Białoruskiego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Radioelektrycznego. Więźniowie zostali przewiezieni do Wilna. Ceną za uwolnienie było złagodzenie części amerykańskich sankcji na białoruskie linie lotnicze Belavia.

FESTYN RODZINNY „S”

Zarząd Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność” zorganizował 13 września Festyn Rodzinny dla uczczenia kolejnej rocznicy powstania Związku. Imprezie na Jasnych Błoniach towarzyszyła piękna pogoda, dobra zabawa oraz ogromny 45-kilogramowy tort z okazji jubileuszu powstania NSZZ „Solidarność” i podpisania Porozumień Sierpniowych – to właśnie w Szczecinie zawarto pierwszą z czterech historycznych umów.

– Tort ma 45 kilogramów i tyle samo lat ma Solidarność. Chcemy w ten sposób zaakcentować naszą rocznicę, ale bez oficjalnych uroczystości, raczej w formule otwartego, rodzinnego spotkania – powiedział przewodniczący ZR Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność” Dariusz Głogowski, cytowany przez „Kurier Szczeciński”.

Zarówno starsi, jak i młodsi uczestnicy Festynu mogli skorzystać z szeregu przygotowanych atrakcji: dmuchańców, torów przeszkód, gier, konkursów, animacji dla dzieci, malowania twarzy, no i oczywiście skosztować waty cukrowej. Patronat honorowy nad wydarzeniem objął prezydent Miasta Szczecina Piotr Krzystek.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

24.09.1980 – w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie złożony zostaje wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność”;

29.09.1986 – powołano Tymczasową Radę NSZZ „S”;

27.09.1987 – wizytę w Polsce odbywa ówczesny wiceprezydent USA George Bush, spotyka się z Lechem Wałęsą, składa też kwiaty na grobie ks. Jerzego Popiełuszki.

eprasa.pl 54376c0a4f

PRAWO

MÓJ AZYL, czyli słów kilka o domku na działce ROD

Niedawno kupiłem działkę w rodzinnym ogrodzie działkowym. Chciałbym postawić na niej niewielki domek z aneksem kuchennym i miejscem do spania, żeby móc przyjemnie spędzać tam czas, a nawet czasami nocować. Słyszałem jednak, że **przepisy mocno ograniczają taką budowę** w ROD i że grozi mi nakaz rozbiórki, jeśli przekroczę pewne limity. Jak to wygląda w 2025 roku i jakie są konsekwencje, jeśli postawię domek większy, niż pozwalają zasady?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Wielu działkowców marzy o tym, by działka w rodzinnym ogrodzie działkowym była nie tylko miejscem uprawy warzyw i kwiatów, lecz także azylem, gdzie można spędzić weekend czy letni urlop. Czasami pojawiają się pytania: jak duży domek można tam postawić, czy można w nim nocować, a może nawet mieszkać na stałe? Temat budzi emocje, bo granica między „altaną działkową" a „domkiem letniskowym" bywa w praktyce cienka. Rodzinne ogrody działkowe funkcjonują w Polsce w oparciu o ustawę z dnia 13 grudnia 2013 roku o rodzinnych ogrodach działkowych. Zgodnie z jej art. 13 działka w ROD jest przeznaczona wyłącznie do rekreacji i prowadzenia upraw ogrodniczych, a możliwość wznoszenia na niej obiektów budowlanych jest ściśle ograniczona. Dopuszczalne jest postawienie wyłącznie tzw. altany działkowej. Przepisy określają, altana to budynek wolno stojący, o powierzchni zabudowy do 35 metrów kwadratowych i wysokości do 5 metrów przy dachu stromym lub do 4 metrów przy dachu płaskim. Co istotne, do tej powierzchni nie wlicza się elementów takich jak tarasy, werandy czy zadaszenia do łącznej powierzchni 12 m². W praktyce oznacza to, że działkowiec może zbudować altanę 35 m² z tarasem 10 m² i nadal będzie to zgodne z prawem. Natomiast każda nadbudowa czy rozbudowa, która przekroczy dopuszczalne wymiary, nie mieści się w definicji altany i traktowana jest jako naruszenie ustawy. Zarząd ogrodu może wezwać do rozbiórki lub przebudowy altany tak, by była ona zgodna z przepisami. W razie oporu, kiedy działkowiec nadal korzysta z działki lub altany działkowej w sposób sprzeczny z przepisami ustawy lub regulaminem, naraża się na wypowiedzenie umowy dzierżawy działkowej. Warto podkreślić, że przepisy zakazują stałego zamieszkiwania na działce tego typu. Altana może być miejscem odpoczynku i okazjonalnych noclegów, ale nie lokalem mieszkalnym. Nie można się w niej zameldować ani wykorzystywać jej do prowadzenia działalności zarobkowej. Zarządy ogrodów, szczególnie w dużych miastach, regularnie interweniują w przypadkach, gdy ktoś próbuje urządzić w altanie całoroczny dom. Dodam, że w 2025 roku zasady budowania na działkach ROD nadal pozostają bez zmian, oznacza to, że dopuszczalna jest wyłącznie altana działkowa w granicach określonych ustawą. Budowa większego domku to ryzyko nie tylko finansowe, ale też prawne: od nakazu rozbiórki po wypowiedzenie umowy dzierżawy.

Jeśli marzysz o własnym azylu, najlepszym rozwiązaniem jest zaprojektowanie altany zgodnej z przepisami i otwarta współpraca z zarządem ogrodu. Dzięki temu zyskasz pewność, że Twój wypoczynek będzie bezpieczny i spokojny.

eprasa.pl 54376c0a4f

PRZYWRACANIE TERMINU na wniesienie powództwa w sprawach z zakresu prawa pracy

W pewien uproszczony sposób można podzielić przepisy prawa na przepisy materialne i procesowe. Te pierwsze regulują prawa i obowiązki podmiotów, a w przypadku prawa pracy – prawa i obowiązki pracowników i pracodawców najczęściej wobec siebie. Z kolei przepisy procesowe odgrywają rolę wówczas, gdy strony wchodzą w spór co do swoich praw i obowiązków i zostaje on skierowany do rozstrzygnięcia przez sądy. Przykładowo – przepisem materialnym jest ten ustanawiający prawo do dodatku za pracę w godzinach nadliczbowych, a procesowym ten, który określa, jaki sąd jest właściwy do rozpoznania sprawy o wypłatę tego dodatku.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Jak jednak wskazuje praktyka, często zdarza się, że prawa i obowiązki wynikające z prawa materialnego nie są prawidłowo realizowane (lub jedna ze strona tak uważa), w efekcie czego sądy pracy rozstrzygają liczne spory na linii pracownik – pracodawca.

W przypadku powstania sporu jednym z istotnych elementów dochodzenia swoich praw jest dochowanie wyznaczonego ustawą terminu na wniesienie swojej sprawy do sądu.

W przypadku roszczeń ze stosunku pracy ogólną zasadą jest ta, w myśl której roszczenia ze stosunku pracy ulegają przedawnieniu z upływem 3 lat od dnia, w którym roszczenie stało się wymagane (art. 291 § 1 kp), co w uproszczeniu oznacza, że pozew w danej sprawie pracowniczej powinien zostać złożony w ciągu trzech lat (np. od dnia, w którym pracownik nabył prawo do wypłaty dodatku za godziny nadliczbowe).

Warto jednak zwrócić uwagę na szczególne sytuacje, w których termin ten jest zdecydowanie krótszy. Otóż zgodnie z art. 264 § 1 kp odwołanie od wypowiedzenia umowy o pracę wnosi się do sądu pracy w ciągu 21 dni od dnia doręczenia pisma wypowiadającego umowę o pracę (21-dniowy termin dotyczy także żądania przywrócenia do pracy lub odszkodowania w razie rozwiązaniu umowy o pracę bez wypowiedzenia). Bardzo ważne jest to, że są to tzw. terminy zawite prawa materialnego, do których nie mają zastosowania przepisy Kodeksu postępowania cywilnego dotyczące uchybienia terminowi i przywracania go. Oznacza to, że co do zasady po ich upływie wygasa prawo do wniesienia odwołania. Żeby jednak złagodzić tak rygorystyczne rozwiązanie, ustawodawca wprowadził szczególny mechanizm w art. 265 kp. Zgodnie z § 1 tego przepisu: jeżeli pracownik nie dokonał – bez swojej winy – w terminie czynności, o których mowa w art. 97 § 2^1 (żądanie sprostowania świadectwa pracy) i w art. 264, sąd pracy na jego wniosek postanowi przywrócenie uchybionego terminu. Z kolei § 2 przesądza o tym, że wniosek o przywrócenie terminu wnosi się do sądu pracy w ciągu 7 dni od dnia ustania przyczyny uchybienia terminu (i trzeba w nim uprawdopodobnić okoliczności uzasadniające przywrócenie terminu).

W tym kontekście warto przywołać postanowienie SN z 24.06.2025, II PSK 85/24, w którym wskazano, że „rozpoczęcie biegu siedmiodniowego terminu, o którym mowa w art. 265 § 2 kp (do wystąpienia z wnioskiem o przywrócenie uchybionego terminu art. 264 § 1 kp), następuje w dniu powzięcia przez pracownika informacji o tym, że pracodawca wprowadził go w błąd co do rzeczywistej przyczyny wypowiedzenia umowy o pracę". Przykładowo: pracownica, która w chwili otrzymania wypowiedzenia była w ciąży, lecz o tym nie wiedziała, co do zasady powinna wnieść odwołanie w ciągu 21 dni od dnia jego otrzymania. Jeżeli jednak wiedzę o swojej ciąży uzyskała np. po 25 dniach, to może wystąpić do sądu o przywrócenie terminu na wniesienie odwołania, przy czym ten wniosek powinna złożyć w ciągu 7 dni od dnia dowiedzenia się o ciąży.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 54376c0a4f

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Barbara Andrijanić (Talent..., s. 22),
zajmuje się sztuką, kulturą i duchowością. Pisze ikony.

Bartosz Boruciak (Żyjemy..., s. 54),
w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Adam Chmielecki (Tożsamość..., s. 52),
politolog, doktor nauk społecznych, publicysta i autor książek historycznych.

Jakub Pacan (Do równości..., s. 18),
dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach.

Stanisław Żaryn (Uratowani..., s. 36),
pierwsze publicystyczne kroki stawiał w „Tygodniku Solidarność". Później był zastępcą ministra koordynatora służb specjalnych i pełnomocnikiem rządu Mateusza Morawieckiego do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP. Obecnie jest doradcą prezydenta RP Andrzeja Dudy.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 54376c0a4f

REPUBLIKA

Żartobliwy komentarz bieżących wydarzeń politycznych.
W programie nie zabraknie ankiet o omawianych tematach,
w których widzowie na bieżąco wyrażają swoje opinie.

PIACHEM W TRYBY

CODZIENNIE
22:15

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 54376c0a4

45. rocznica
POWSTANIA SOLIDARNOŚCI

WYDANIE SPECJALNE

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL, W EMPIKU I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH.

Piotr Duda: Polska potrzebuje Solidarności

Andrzej Gwiazda o Sierpniu, odwadze i niepodległości

Jan Paweł II – papież Solidarności

45 SOLIDARNOŚĆ TYLKO RAZEM

eprasa.pl 54376c0a4f